

a n y
w h e
r e magazine

OLGA
SZOMANŃSKA

NR (58) 2025
FREE COPY
pobierz darmowy
magazyn anywhere.pl



Czytaj #AnywhereYouAre



EVENT HALL

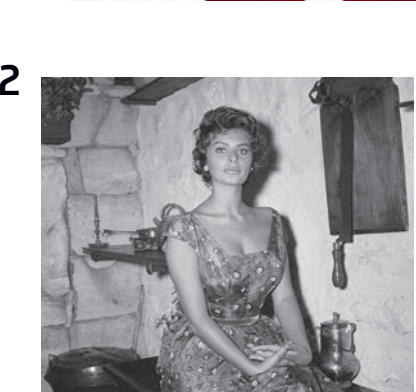
www.eventfn.pl



EventHallFabrykaNorblina



@eventhall_fabrykanorblina



6
STREFA VIP Olga Szomańska: kostium powinien dopasowywać się do mnie, a nie ja do kostiumu
VIP ZONE Olga Szomańska: The costume should fit me not the other way around

34
STREFA VIP II – KATARZYNA CZAJKA-KOMINIARCZUK – POLITYKA RZĄDZI FILMEM OD ZAWSZE
VIP ZONE II – Katarzyna Czajka-Kominiarczuk - Politics has always ruled over cinema

56
LIFESTYLE TedX Warsaw: Wczoraj. Dziś. Jutro



58
MOTO Podróż na kanapie / Bliskie spotkanie z Nissanem Ariya | Nissan Ariya 2024 TEST

62
FOR HER I MADE IN ITALY: Z CINECITTA DO HOLLYWOOD, CZYLI NARODZINY SOPHII LOREN

66
FOR HER II CYFROWY MINIMALISM – PRZYWILEJ BOGATYCH CZY KONIECZNOŚĆ?

Nasze magazyny lotniskowe



SPRAWDŹ
na anywhere.pl



ZDJĘCIE NA OKŁADCE
Halina Jasińska

WYDAWCA
Anywhere.pl Platforma Medialna Sp. z o. o.
z siedzibą w Sopocie 81-717 ul. Halfnera 6 lok. 224K,
zarejestrowana w Sądzie Rejonowym Gdańsk Północ
w Gdańsku, VIII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru
Sądowego nr 0000856796,
NIP 5851492193, REGON 387084333.

e-mail: biuro@anywhere.pl
kom.: 882 072 755.

Wydawca: Marcin Ranuszkiewicz
Redaktor naczelny: Jakub Wejksznier
Redaktorka prowadząca ForHer: Julia Trojanowska
Sprzedaż i Marketing: Angelika Balbuza
Grafik: Jakub Wejksznier
Dział IT: Aleksander Domański
Współpraca fotograficzna: Michał Buddabar,
Bartosz Maciejewski, Piotr Sobik, Karolina Nowaczyk,
Paulina Pawłowska, Łukasz Dziewic

Na licencji: asz-reklama / biuro@asz-reklama.eu
Redakcja nie zwraca niezamówionych tekstów
i materiałów redakcyjnych oraz nie ponosi
odpowiedzialności za treść nadesłanych ogłoszeń
reklamowych. Redakcja zastrzega sobie prawo do
redagowania i skracania tekstów.

ANYWHERE. PL | PLATFORMA
MEDIALNA

www.anywhere.pl
www.facebook.com/anywherepl
www.twitter.com/anywherepl
[instagram.com/anywhere.pl](https://www.instagram.com/anywhere.pl)
www.linkedin.com/company/anywhere-pl

PARTNER
PROT
Brama Wyżyna
Wały Jagiellońskie 2a
80-887 Gdańsk
www.prot.gda.pl

PATRONAT

MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Gdańsk

Gdynia

Sopot

LA BIOSTHETIQUE®
PARIS

THE CULTURE OF TOTAL BEAUTY

Nowa vitalność dla suchych,
strukturalnie zniszczonych włosów.

Odżywcza pielęgnacja przywracająca włosom
uwodzicielską, zdrową miękkość, wygładzenie i blask.

LA BIOSTHETIQUE®
PARIS

Structure
Repair

HAIR CARE
Nourishing
Conditioner

Soin cheveux
nourissant express
Nährnde
Schnellhaarpflege

200 ml e 6.7 fl.oz.

LA BIOSTHETIQUE®
PARIS

Structure
Repair

HAIR CARE
Hydrating
Drops

Concentre hydratant
Fruchtigkeits spendendes
Konzentrat

50 ml e 1.01 fl.oz.

LA BIOSTHETIQUE®
PARIS

Structure
Repair

HAIR CARE
Nourishing
Shampoo

Shampooing nourrissant
Nährendes Shampoo

250 ml e 8.4 fl.oz.

Firma neutralna
dla klimatu

W wybranych salonach fryzjerskich oraz na www.labiosthetique.pl

A black and white photograph of a woman with blonde hair, wearing a white lace-trimmed blouse. She is leaning her head on her hand, which is resting on a dark, reflective table. She is looking directly at the camera with a slight smile. The background is blurred, showing an indoor setting with plants and furniture.

OLGA

SZOMAŃSKA

KOSTIUM POWINIEN
DOPASOWYWAĆ SIĘ
DO MNIE, A NIE JA DO
KOSTIUMU

TEKST JOANNA WALAŚ
ZDJĘCIA HALINA JASIŃSKA

Joanna Walaś: Będziemy dzisiaj stąpać po dość grząskim gruncie. Spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, czy jako kobiety coś musimy, czy są nam narzucane kanony piękna – szczególnie w bardzo wymagającej przestrzeni, jaką jest show-biznes. Bardzo się cieszę, że porozmawiam o tym z Olgą Szomańską, kobietą wielu talentów: wokalistką, aktorką, a prywatnie również moją przyjaciółką. Piękno a presja społeczeństwa. Na pewno wiesz, że jesteś oceniana nie tylko przez pryzmat talentu, ale też wyglądu i wieku – zwłaszcza w strefie show-biznesu, gdzie ta presja jest bardzo odczuwalna. Czy to coś, z czym trzeba walczyć?

Olga Szomańska: Najtrudniej było mi chyba po odejściu z serialu M jak Miłość, a także w trakcie jego kręcenia. Ludzie regularnie oglądali mnie w telewizji – w poniedziałki i wtorki – i tam wyglądałam zupełnie inaczej niż na co dzień, na ulicy. Później widywali mnie na koncertach albo po prostu w dużym sklepie, gdzie robiłam zakupy, jak zwykła Matka Polka. I bardzo często – szczególnie kobiety – chciały mi powiedzieć coś miłego, ale mówiły na przykład: „W telewizji wygląda pani znacznie grubiej” albo „W telewizji wygląda pani brzydko”...

Ale chciały? To znaczy – podchodziły i to mówiły?

One chciały powiedzieć coś miłego, na zasadzie: podchodzisz do kogoś i mówisz „Bardzo ładnie pani wygląda”. A one zaczynały: „Ojejku, Marzenka z M jak Miłość... w telewizji wygląda pani o wiele grubiej”. I dla nich – jednej, drugiej – to był komplement. Dla mnie to było straszne. Brałam to bardzo do siebie, nie byłam w stanie oglądać siebie w telewizji. Nie patrzyłam na to z perspektywy aktorskiej, że tu mogłabym coś poprawić, tam zagrać inaczej, albo że warto by się doksztalcić, lepiej wypowiadać. Skupiałam się tylko na tym: „Czy jestem gruba? Czy mam ładne włosy? Czy dobrze wyglądają? Czy jestem dobrze umalowana?” I ta próżność wychodziła na pierwszy plan – przed umiejętnościami, przed tym, co naprawdę chciałam pokazać. To było straszne. A potem przyszedł taki moment, że zaczęłam mieć to gdzieś. Stwierdziłam: „Starzeję się. Będę miała zmarszczki. Będę grubsza, będę chudsza. Będę mieć zmartwienia.” Co ciekawe, ten czas, kiedy wyglądałam najlepiej, zbiegł się z momentem, kiedy byłam najbardziej nieszczęśliwa. I ta presja... ona była dla mnie po prostu za duża. Ja nie potrafię jej unieść. I jeszcze ci powiem coś o spektaklu, w którym gram – Zakonnica w przebraniu. Ostatnio miałam przedstawienie. Przyjechałam z drżącym ciałem, zastanawiając się, czy zmieszczę się w tę finałową, spektakularną, różową sukienkę. I zmieściłam się – tak trochę, wiesz, jak Scarlett O’Hara, po prostu się w nią wcisnęłam. Ale potem strasznie się za to karciłam. Mówię do siebie: „Boże, przytęłam. Źle. Niedobrze”.

Czyli nie odstajesz od normy?

Nie, ale wtedy zadziałała terapia. I pomyślałam sobie: „Hej, przecież zaczynałam ten spektakl 10 lat temu. Miałam wtedy 32 lata, byłam w zupełnie innym miejscu. Byłam nieszczęśliwa. Miałam depresję, stany lękowe, załamania nerwowe... Jak mogę

dziś, jako 43-letnia kobieta, porównywać się do tamtej dziewczyny?”. A ta sukienka – mimo wszystko – nadal na mnie pasuje. Może jest trochę przymała, ale ja jako kobieta rozkwitłam. Mam prawo z niej wyrosnąć. Pracuję nad tym. Ale czasami, wiadomo – jak każda próżna baba, która chce słyszeć, że jest piękna, mądra, śliczna i młoda – czasem się po prostu nie udaje.

Dobrze, a jak to jest ze starzeniem się z godnością – w teorii i w praktyce? Bo z jednej strony bardzo często słyszymy o tym, że powinno się starzeć z godnością, a z drugiej strony mamy trend na wieczną młodość. Jak ty to widzisz? Czy w dzisiejszym świecie mamy w ogóle przyzwolenie na to, żeby się starzeć z godnością? Czy może, gdy tak uważamy, zaczynamy odstawać, nie pasować do tego świata?

Wiesz co, ja wierzę, że tak – że mamy prawo do starzenia się. Zresztą, jeśli spojrzeć choćby z perspektywy aktorskiej, to przecież najbardziej cenimy te aktorki, które nie robią sobie nic inwazyjnego. Co raz częściej wracamy do naturalności. Weźmy choćby Pamelę Anderson – dotychczas była kojarzona z innym kanonem urody, a dziś pojawia się na galach oscarowych totalnie sauté, bez makijażu. I to jest szeroko komentowane, spektakularne.

I to jest coś, co ją wyróżnia z tłumu.

Absolutnie. Uważam, że dbanie o siebie, wszelkie zabiegi pielęgnacyjne – jeśli komuś pomagają – są super. Jestem totalnie za tym. Czy sama zdecydowałabym się na jakieś bardzo inwazyjne operacje? No cóż... Na pewno o tym myślę. Czemu tego nie robię? Bo się boję, nie mam czasu, szkoda mi pieniędzy, i myślę sobie, że nie jest mi to potrzebne. Ale tak, być może lepiej bym się czuła ze swoim ciałem, z brzuchem czy innymi rzeczami, gdybym coś poprawiła.

Ale czy to jest rzeczywiście twoje przekonanie? Czy może tylko tak ci się wydaje, bo narzuca to społeczeństwo? Bo dziś, mam wrażenie, prawie każdy coś sobie robi – tylko jednostki nie korzystają z medycyny estetycznej albo chirurgii plastycznej. Jak to widzisz?

Mój punkt widzenia jest taki, że cały czas występuję na scenie, że cały czas jestem na świeczniku. Staram się – wiadomo – jestem na tyle świadoma, że wiem, iż to kostium powinien dopasowywać się do mnie, a nie ja do kostiumu. Są rzeczy, które z przyjemnością bym zmieniła, bo wiem, że lata treningów, różne działania, odchudzanie i tak dalej – nie były w stanie pewnych rzeczy poprawić. Bo taka jest skóra, taki mam wiek, jestem matką, i są rzeczy, których po prostu nie da się przeskoczyć. Uważam, że jeśli kobieta na przykład uważa, że ma za duży nos, i jest to dla niej problem związany z samoakceptacją czy poczuciem własnej wartości, to absolutnie – tak, niech to zmieni.

Jeśli robi to dla siebie, to nie traci autentyczności?

Absolutnie nie. Wydaje mi się, że wręcz przeciwnie. Znam kobiety, które zrobiły coś dla siebie i potem mówiły mi: „Zobacz, poprawiłam sobie to i to. Czuję się po prostu lepiej”. I to jest wspaniałe. Pewnie ja sama nie ingerowałabym w rzeczy związane z moją twarzą – dlatego, że moja twarz jest już na tyle roz-





poznawalna...

Szkoda byłoby cię nie poznać.

Tak, jak to było z aktorką, która grała w Dirty Dancing. Druga sprawa – mam bardzo silny „pion”, który trzyma moja siostra. Mieszka w Niemczech, a tam panują zupełnie inne warunki bycia kobietą.

Inny kanon piękna.

Inny kanon piękna. One są totalnie sauté – pozwalają sobie na to, by być po prostu sobą i tak też się starzeć. Moja siostra trzyma nade mną pieczę. Mówi mi: „Olesinek...” – tu pada niecenzuralne słowo – „... nie przesadzaj, bo wszystko jest w porządku. Pięknie wyglądasz. Masz prawo być grubsza, masz prawo do tego, tamtego...” i tak dalej. Ona mocno mnie trzyma w ryzach. Może kiedyś zdecyduję się na coś, co rzeczywiście jest dla mnie problemem, ale na razie nie widzę takiej potrzeby. Ja w ogóle mam tak, że na co dzień w ogóle się nie maluję. I mam głęboko w nosie, co mam na głowie. Przyjaźń do mojego fryzjera sprawia, że o te włosy jednak dbam – wiem, że trzeba je szczotkować i używać odżywek. Cztery lata temu w ogóle tego nie robiłam, więc pewnie za cztery lata byłabym łysa. To wszystko jest wspaniałe, ale mam do tego osobliwy i osobisty dystans. Na zasadzie: jeśli ktoś powiedziałby mi: „Słuchaj, zrób sobie operację brzucha”, to bym odpowiedziała: „Dobra, zrobię sobie”.

Zalóżmy, że mijają ci wszystkie lęki — nie boisz się powikłań, bólu, niczego. Co robisz? Co zmieniasz?

Brzuch! Jak ja bym chciała mieć taki piękny, płaski, bez rozstępów, wspaniały, idealny brzuch. I nigdy w życiu — czy to przed dzieckiem, czy w czasie depresji, czy w ogóle, kiedy byłam totalnie w dołku, albo nawet najszczęśliwsza — to mi się nie zdarzyło. Nigdy nawet stałam obok takiego brzucha. Bardzo bym taki chciała.

A trendy i indywidualność? Bo przecież codziennie — na pewno, tak jak ja i każda inna kobieta — oglądasz setki idealnych zdjęć na Instagramie. I każdy nam mówi, że mamy mieć ten płaski brzuch, ten twój wymarzony, wyśniony, z kostką, zero tłuszczu... Jak w tym nie zwariować? Jak nabrać dystansu między tym, co w mediach społecznościowych, a tym, co w realu? Gdzie według ciebie zaciera się ta granica?

Powiem ci szczerze — ja nie umiem tego do końca ocenić, bo nigdy nie miałam problemów z Instagramem. On nigdy nie był dla mnie wyznacznikiem urody. Ani tego, co powinnam.

A nie masz tak, że oglądasz coś i myślisz: „O Boże, chciałabym tak wyglądać”?

Ja w ogóle tak nie mam, bo ja w ogóle tego nie oglądam. Wiesz co ja oglądam? Jak się reperuje meble. Jak się zdziera powłokę z mebla! Ja kocham, jak kobiety są piękne i szczęśliwe — ale ja to piękno poznaję w oczach. W nastroju. W poczuciu humoru. W samoakceptacji.

A nie w kadrze.

Właśnie. Spotykam mnóstwo kobiet, które są niespełnieniem mojego wizualnego ideału — wiem, że nigdy nie będę tak wyglądać. Ale mój dystans do siebie, moje poczucie humoru, moje szczęście są o wiele dalej niż to, jak one się czują. A one w oczach

mają nieszczęście. Są nieszczęśliwe. Spotykam też mnóstwo kobiet, które są dużo grubsze ode mnie, mają coś obwisłego i zmarszczki, ale mają taką aurę, taki urok, taką jasność, że myślę: no nie, zwariuję. Mam taką koleżankę, jeździliśmy kiedyś na wakacje całą paczką dziewczyn. Każda z nas była inna. Ale ona — choć wcale nie była kanonem modelki — przyciągała spojrzenia wszystkich facetów. To była energia, vibe. Miała seksapil, pewność siebie, błysk w oku... I choćbyśmy wszystkie wyglądały jak Heidi Klum, to i tak ona była najważniejsza. Ja naprawdę nie mam problemu z oglądaniem takich „idealnych” rzeczy w internecie, bo zupełnie co innego liczy się w moim życiu. Dla mnie najważniejsze jest to, żeby wieczorem położyć się spać z poczuciem, że to był dobry dzień. Że jestem z siebie zadowolona. Że nie karciłam siebie za nic. Że byłam dla siebie dobra. Że jestem szczęśliwa. Że jutro też będzie dobry dzień. Że nic mi nie zagraża. Że mój syn jest bezpieczny. I to jest super. To jest mój najważniejszy kanon piękna.

A jak to jest z przemianą ciała w show-biznesie? Bo z tego, co mówisz, akceptujesz siebie i cały ten proces, ale jednak, cokolwiek byśmy nie zrobiły i z ilu zabiegów byśmy nie skorzystały, metryka nie stoi w miejscu. Jak to wygląda w show-biznesie? Czy w twojej branży to nadal temat tabu? Jeśli widzimy, że jakaś aktorka czy piosenkarka się starzeje, to mówi się o tym otwarcie?

Nie, w ogóle się o tym nie mówi.

Czyli wy się ogólnie nie starzejecie?

My się nie starzejemy. My na ten temat nie rozmawiamy. Spotykamy się na koncertach, widzimy, że się zmieniamy, ale żadna z nas tego po prostu nie komentuje. Nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałam — może dlatego, że mam trochę chłopięce podejście do pewnych rzeczy. Na przykład jednego dnia, powiedzmy w środę, widziałam koleżankę w platynowych blond włosach, a następnego dnia w kruczo czarnych — i kompletnie nie zauważyłam różnicy. To może jest nienormalne, ale ja po prostu jakoś inaczej patrzę na ludzi. Patrzę kompleksowo.

Ale nie zauważyłaś, czy po prostu nie zrobiło ci to różnicy?

Nie zrobiło mi to różnicy. Skupiłam się na niej jako osobie. Ale na przykład — spotykam koleżankę na koncercie i widzę, że coś jest inaczej. Rozmawiamy długo, to jest bardzo fajna, mądra rozmowa, i wiadomo, że gdzieś z tyłu głowy mam: „coś się zmieniło”, ale nie umiem tego nazwać. No i potem czytam w jakimś portalu plotkarskim, że ona sobie zrobiła nos.

Czyli to była duża zmiana.

Bardzo duża. Ale ja nie potrafię tego tak od razu wychwycić. Widzę, że to już nie do końca ta sama twarz, co wcześniej, ale ona jako osoba jest taka sama.

Jak to jest z tą szczerością między kobietami? Czy powinnyśmy być wobec siebie bardziej szczerze? Bo mam czasem wrażenie, że komplementowanie się nawzajem, szczególnie w środowisku show-biznesu, bywa trochę... hipokryzją.

To jest hipokryzja, ale wiesz co — i tak wolę tę hipokryzję, niż gdyby ktoś mi powiedział, że źle wyglą-

www.molton.pl



MOLTON



dam w telewizji...

...i skłamał po prostu, nawet jeśli naprawdę źle wyglądasz.

I skłamał, tak, niż żeby powiedział mi, że w telewizji wyglądał na 20 kilo więcej.

Kiedy stoisz w większym gronie i słyszysz te wszystkie komplementy — mniej lub bardziej szczere — to wypuścisz tę hipokryzję, czy po prostu puszczasz to mimo uszu?

Wiesz co... chyba puszczam. A może w ogóle jej nie słyszę? Może dlatego, że mi się dobrze żyje. Jakoś to automatycznie omijam. To jest trochę jak mówi moja przyjaciółka — że mi zawsze jakoś to drzewo schodzi sprzed oczu. Że ja potrafię coś obejść, ominąć, wyciągnąć więcej z doby. Że z 24 godzin robi mi się 36. Przez to mam wrażenie, że przyciągam ludzi z dobrą energią — takich, którzy nie są hipokrytami. I jak spotykam się z koleżankami albo kolegami na koncertach, to wiadomo, że od facetów słyszę różne komplementy — i spoko, bardzo mi to pasuje. A z koleżankami po prostu normalnie rozmawiamy. One mi nie wchodzą w tyłek, bo nie mają po co — ani ja im nic nie załatwię, ani nie mam żadnych kontraktów do rozdania. Wolę, żebyśmy sobie mówili nawet czasem nieszczerze komplementy, niż żebyśmy po sobie jechali, hejtowali i komentowali wszystko dookoła. „O, zrobiła sobie...”, „Nie no, z tymi ustami to już przesadziła”, „Pani sobie zrobiła to”, „Pani zrobiła tamto” — daj spokój człowieku. Moje pieniądze, moje usta, moje ciało, moje samopoczucie, moje marzenia. To ja patrzę w to lustro, a nie ty. Zmień kanał i tyle. Więc wolę, żebyśmy sobie mówili nawet trochę nieszczerze komplementy, niż żebyśmy byli bardzo szczerzy.

A który komplement by cię bardziej usatysfakcjonował? Że pięknie wyglądasz, czy że jesteś po prostu przeutalentowana?

Najlepiej by było, jakby jedno i drugie było zawarte w jednym zdaniu.

A gdybyś musiała wybrać?

Pewnie przez moją próżność chciałabym po prostu usłyszeć, że świetnie wyglądam. Z wyglądem jest trochę tak, że nie zawsze czujesz się tak samo atrakcyjna. Natomiast jeśli chodzi o talent — jesteś w 200% pewna, że nikt ci go nie odbierze. Jesteś petardą w tym, co robisz. Każdy na swoim zawodowym poletku, jeśli już zjadł na nim zęby, to doceni też komplementy w tej dziedzinie. Ale jako kobiety — chyba częściej wolimy komplementy dotyczące urody. Mam takie przemyślenie — jak ktoś mówi mi „jest pani zdolna”, to mi nijak nie pomaga w mojej karierze. A jak ktoś mówi, że ładnie wyglądam, dobrze się starzeję, mam super energię, to moje poczucie własnej wartości też się podnosi. Jestem w tym zawodzie już 26 lat. W zeszłym roku obchodziłam 25-lecie pracy. I przez te 25 lat próbuję, drapię pazurami do przodu, żeby cały czas się utrzymać. Żeby śpiewać, żeby działać, bo nikt mi niczego nie dał za darmo. Talent — jasna sprawa — on jest, ale ja go cały czas szlifuję, bo to też jest ciężka praca. Robię ogrom różnych rzeczy, żeby utrzymać się na jakiejś pozycji i funkcjonować w tym zawodzie. Było wielu ludzi, którzy mi coś obiecywali, a potem okazywało się to po prostu... wiadrem gówna. Gdyby rzeczywiście ktoś do mnie przyszedł i powiedział: „Proszę pani, jest pani bardzo utalentowana, wydamy

pani płytę za nasze pieniądze, nie okradniemy pani, a pani będzie śpiewać, a my zadbamy o promocję w radiach” — to takie komplementy mogłabym sobie wybierać. Ale skoro tak się nie dzieje, to bardzo doceniam, kiedy ludzie, prywatnie, mówią mi, że jestem utalentowana — to jest super i bardzo mnie to cieszy. Gdyby to mówił ktoś z branży, to szczerze — wolałabym, żeby po prostu powiedział, że ładnie wyglądam. Bo z tą pomocą i z tym talentem... no, niewiele się z tym dzieje.

Zrobiłaś kiedyś coś wbrew sobie, jeśli chodzi o wygląd? Rozumiem, że w przypadku kreacji aktorskiej to trochę rządzi się innymi prawami — masz scenę do odegrania, ubierają cię, jak trzeba. Co jednak z koncertami? Masz sprawczość nad tym, w co jesteś ubierana i jak ostatecznie wyglądasz?

Mam sprawczość. Obecnie pracuję z doskonałą ekipą, która mnie zna i wie, w czym wyglądam dobrze. Mam ludzi, którzy wiedzą, jakie kroje mi służą, jaki makijaż, jak układać włosy, żebym dobrze wyglądała i dobrze się czuła. W tym zawodzie przez 26 lat bywało różnie. Popęliłam też mnóstwo błędów, w tym błąd zrobienia sobie brwi henną. Pamiętam to dokładnie. To chyba była henna, może coś innego — ale efekt był taki, że ludzie, jak mnie spotykali na ulicy, to reagowali udając sowę. Wyszedłam z tego „zakładu” — bo to był zakład, nie atelier — i myślałam, że wyglądam świetnie.

Odwrócili cię od lustra, czy jak to wyglądało?

Po prostu im zaufałam. Zrobili mi te brwi, pamiętam, że byłam wtedy na dubbingu czy czymś podobnym. Nie paliłam papierosów, a dowiedziałam się, że podobno popiół z papierosa trochę to zmywa. I nie zapomnę tej rozmowy z realizatorem dubbingu — bo on palił — siedzimy w studiu, a ja go zapytałam, czy mógłby nie wyrzucić popiołu z papierosa. On tak spokojnie, bez mrugnienia okiem: „Chodzi o brwi?” A ja na to: „Skąd wiesz?”. A on: „Bo moja stara robiła to samo”. Generalnie — nie jestem sama w tych błędach. Ubraniowo też się zdarzało, że coś nie grało. No i prawda jest taka, że jestem kobietą — przymierzam kostium jednego dnia i wyglądam super, dwa tygodnie później, w dniu koncertu, jestem opuchnięta. Takie sytuacje zdarzały się wiele, wiele razy.

Co powiedziałabyś młodszej sobie na temat piękna, akceptacji i tego, co tak naprawdę w życiu jest ważne, wiedząc to, co wiesz dziś?

Chyba bym jej nic nie powiedziała. A jeśli już, to że ma znakomite poczucie humoru. I że to właśnie sprawia, że jest młoda. I że dzięki temu zawsze będzie młoda. Patrzę na moją mamę. Ona jest supermłoda — nie dlatego, że tylko wklepuje kremy, choć robi to na maksa i zna się na tym o wiele lepiej niż ja kiedykolwiek. Zawsze jak przyjeżdżam, mówi, że to, co robię ze swoją twarzą, to skandal. Że powinnam się oklepywać i stosować kremy. A ja zawsze odpowiadam: „Mamo, wiesz, że to się nigdy nie wydarzy.” Ona jest o wiele dalej. Ale jest młoda nie tylko przez kremy. Ma wspaniałe poczucie humoru, niesamowitą energię, jest życiową rakiętą. Jest młodsza od większości ludzi w swoim wieku, mimo że nie robiła żadnych operacji plastycznych, nie korzysta z „ulepszaczy”, na które my często się decydujemy. Jest po prostu zadbaną, pełną życia kobietą. Komi-





kiem. I chyba właśnie to powiedziałabym tej młodszej Oldze: żeby nie traciła tego poczucia humoru. Bo ono wiele razy uratowało mi tylek – zwłaszcza w momentach, kiedy było naprawdę źle. Wiele razy moje poczucie humoru ratowało mój wizerunek, moje śpiewanie, moje relacje. Ratowało nawet wtedy, gdy nie mieściłam się w kostium, który jeszcze tydzień wcześniej leżał idealnie. To mnie po prostu ratuje. **II**

ENGLISH

OLGA SZOMAŃSKA: THE COSTUME SHOULD FIT ME NOT THE OTHER WAY AROUND

Joanna Walas: Today, we'll be walking on rather shaky ground. We'll try to answer the question of whether, as women, we have to do anything — whether beauty standards are imposed on us, especially in the very demanding space that is show business. I'm very glad to be discussing this with Olga Szomańska, a woman of many talents: a singer, actress, and privately also my friend. Beauty and societal pressure. You surely know that you're judged not only for your talent, but also for your appearance and age — especially in the world of show business, where the pressure is very real. Is it something you have to fight?

Olga Szomańska: I think the hardest time for me was after leaving the TV series M jak Miłość, and also while I was still filming it. People regularly saw me on TV — Mondays and Tuesdays — and I looked completely different there than I do in real life, on the street. Later, they would see me at concerts or just at a large store, shopping like any regular Polish mom. And very often — especially women — would try to say something nice, but it would come out like: "You look much heavier on TV," or "You look bad on TV"...

Wait, so they actually said that to you?

Yes, they meant to say something nice, like you would go up to someone and say, "You look lovely." But instead they'd start with, "Oh wow, Marzenka from M jak Miłość... you look much heavier on TV." And to them — to one woman, to another — that was a compliment. But to me, it was awful. I took it very personally. I couldn't even watch myself on TV. I didn't look at it from an actress's perspective — like, "Oh, I could improve here," or "I could perform that better," or "Maybe I should work on my speech or expression." I was fixated only on, "Am I fat? Is my hair nice? Does it look good? Is my makeup okay?" That vanity took center stage — ahead of my skills, ahead of what I truly wanted to show. It was awful. Then came a moment when I just stopped caring. I thought, "I'm aging. I'll get wrinkles. I'll gain weight, I'll lose weight. I'll have worries." Interestingly, the time when I looked my best coincided with when I was most unhappy. And that pressure... it was just too much for me. I couldn't handle it. Let me also tell you about the musical I'm in — Sister Act. I had a performance recently. I arrived with my body shaking, wondering if I would still fit into that final, spectacular pink dress. And I did — sort of, like Scarlett O'Hara, I squeezed into it. But then I scolded myself terribly.

I told myself: "God, I've gained weight. That's bad. That's not good."

So you're not an exception to the norm?

No, but that's when therapy kicked in. And I thought: "Hey, I started this show 10 years ago. I was 32 then, in a completely different place. I was unhappy. I had depression, anxiety, nervous breakdowns... How can I, at 43, compare myself to that girl?" And the dress — despite everything — still fits. Maybe it's a bit too tight, but as a woman, I've blossomed. I have the right to outgrow it. I'm working on that. But sometimes, of course — like any vain woman who wants to hear she's beautiful, smart, pretty, and young — sometimes it just doesn't work out.

So how do you see the idea of aging gracefully — in theory and in practice? On one hand, we're often told we should age with grace, and on the other, we're bombarded with the trend of eternal youth. Do you think there's space today to age gracefully? Or if we do believe in that, do we end up feeling like outsiders?

You know what, I believe that yes — we do have the right to age. And if you look at it even from an acting point of view, we most value actresses who don't do anything invasive to themselves. We're returning more and more to natural looks. Take Pamela Anderson, for example — she used to be associated with a completely different beauty ideal, and now she shows up at Oscar events totally bare-faced, without makeup. And that's widely discussed — it's spectacular.

And it makes her stand out from the crowd.

Absolutely. I think taking care of yourself, any self-care routines — if they help someone — are great. I'm totally in favor of that. Would I personally go for something very invasive? Well... I do think about it. Why haven't I done it? Because I'm scared, I don't have time, I don't want to spend the money, and I feel I don't really need it. But yes, maybe I would feel better in my body, with my stomach or other things, if I changed something.

But is that really your belief? Or could it be just something that society has imposed on you? Because these days, it feels like almost everyone is doing something. Only a few people haven't turned to aesthetic medicine or plastic surgery. What's your take?

My view is that I'm constantly on stage, always in the spotlight. I try — and I'm aware enough to know — that it's the costume that should fit me, not the other way around. There are things I'd happily change, because years of training, dieting, and other efforts didn't manage to improve certain things. That's just how skin works, that's my age, I'm a mom, and some things simply can't be overcome. If a woman, for example, feels she has too big a nose, and that affects her self-acceptance or self-worth — then absolutely, yes, she should change it.

If she does it for herself, is she still authentic?

Absolutely. I actually think the opposite — I know women who did something for themselves and then told me, "Look, I had this and that fixed. I just feel better now." And that's wonderful. I probably wouldn't touch anything on my face — because my face is already pretty recognizable...





SKUPIAŁAM SIĘ TYLKO NA TYM: „CZY JESTEM GRUBA? CZY MAM ŁADNE WŁOSY? CZY DOBRZE WYGLĄDAJĄ? CZY JESTEM DOBRZE UMALOWANA?” I TA PRÓŻNOŚĆ WYCHODZIŁA NA PIERWSZY PLAN – PRZED UMIEJĘTNOŚCIAMI, PRZED TYM, CO NAPRAWDĘ CHCIAŁAM POKAZAĆ. TO BYŁO STRASZNE.



It would be a shame not to recognize you anymore.

Just like what happened to the actress from Dirty Dancing. Another thing is — I have a strong “anchor,” and that’s my sister. She lives in Germany, where the standards for being a woman are completely different.

A different beauty ideal.

A different beauty ideal. They go totally natural — they allow themselves to simply be who they are, and to age that way too. My sister keeps me grounded. She says, “Olesinek...” — here she uses a swear word — “... don’t overdo it, everything’s fine. You look great. You’re allowed to gain weight, you’re allowed this and that...” and so on. She really keeps me in check. Maybe someday I’ll decide to change something that truly bothers me, but for now, I don’t see the need. I actually don’t wear makeup at all day-to-day. And I couldn’t care less what’s on my head. It’s my friendship with my hairdresser that makes me take care of my hair — I know I need to brush it and use conditioner. Four years ago, I didn’t do any of that, so four years from now I’d probably be bald. All of this is great, but I have a rather unique and personal distance from it. Like — if someone said to me, “Hey, you should get a tummy tuck,” I’d probably say, “Sure, I’ll do it.”

Let’s say all your fears go away — you’re not afraid of complications, pain, nothing. What do you do? What do you change?

My stomach! I would love to have a beautiful, flat, stretch-mark-free, amazing, perfect stomach. And never in my life — whether before having a child, during depression, or when I was totally down, or even at my happiest — did I ever have that. I’ve never even stood next to such a stomach. I’d really love one like that.

And trends and individuality? Because every day — surely just like me and every other woman — you look at hundreds of perfect photos on Instagram. And everyone tells us we should have that flat stomach, your dream one, defined, with abs, no fat... How do you not go crazy from it? How do you find some distance between what’s on social media and what’s real life? Where, in your opinion, does the line start to blur?

I’ll be honest — I can’t really judge, because I’ve never had a problem with Instagram. It’s never been a standard of beauty for me. Or a guide for what I should be.

You never see something and think, “Oh God, I wish I looked like that”?

I just don’t feel that way at all, because I don’t look at that stuff. You know what I watch? How furniture is repaired. How they strip the coating off old furniture! I love when women are beautiful and happy — but I recognize that beauty in their eyes. In their vibe. In their sense of humor. In their self-acceptance.

Not in a photo frame.

Exactly. I meet so many women who don’t match my visual ideal — I know I’ll never look like them. But my self-distance, my sense of humor, my happiness — they’re way beyond how those women feel. And in their eyes, I see sadness. They’re unhappy. I also meet many women who are much heavier than me, have sagging skin and wrinkles, but they

have this aura, this charm, this brightness, that makes me think: oh wow, I’m blown away. I have a friend — we used to go on vacation with a group of girls. Each of us was different. But she — even though she didn’t fit the model stereotype — caught the attention of every guy around. It was the energy, the vibe. She had sex appeal, confidence, a spark in her eye... And even if we all looked like Heidi Klum, she still would’ve been the star. I truly don’t have an issue with looking at those “perfect” things online, because something totally different matters in my life. What matters most to me is going to bed at night feeling like it was a good day. That I’m proud of myself. That I didn’t scold myself for anything. That I was kind to myself. That I’m happy. That tomorrow will be a good day too. That nothing threatens me. That my son is safe. And that’s amazing. That’s my most important beauty standard.

And how is it with physical transformation in show business? Because from what you’re saying, you accept yourself and the whole process, but no matter what we do or how many treatments we undergo, time doesn’t stop. What’s it like in showbiz? Is it still a taboo topic? If we see an actress or singer aging, is it something that’s openly discussed?

No, it’s not talked about at all.

So basically, you don’t age?

We don’t age. We don’t talk about it. We meet at concerts, we see that we’ve changed, but no one comments on it. I’ve never really thought deeply about it — maybe because I have a bit of a “boyish” attitude about some things. Like, one day, say Wednesday, I see a friend with platinum blonde hair, and the next day with jet black — and I don’t even notice the difference. Maybe that’s weird, but I just see people differently. I see them as a whole.

But you didn’t notice, or it didn’t matter to you?

It didn’t matter to me. I focused on her as a person. But for example — I meet a friend at a concert and see something’s different. We talk for a while, it’s a great, smart conversation, and sure, in the back of my mind I think: “something changed,” but I can’t quite name it. And then I read in some gossip portal that she had her nose done.

So it was a big change.

A very big one. But I don’t immediately catch it. I can tell that it’s not exactly the same face anymore, but she, as a person, is still the same.

How about honesty among women? Should we be more honest with each other? Because sometimes I feel like complimenting each other, especially in showbiz, can be a bit... hypocritical.

It is hypocritical, but you know what — I still prefer that hypocrisy over someone telling me I looked bad on TV...

...and lied, even if you really did look bad.

Exactly. I’d rather they lied than told me I looked 20 kilos heavier on TV.

When you’re in a group and you hear all these compliments — more or less sincere — do you pick up on the hypocrisy, or just let it slide?

You know what... I think I let it slide. Or maybe I don’t even hear it? Maybe it’s because I have a good life. Somehow I automatically tune it out. It’s a bit like what my friend says — that I always manage to move the tree out of my line of sight. That I can go



Jedynie Takie Kino w Polsce



Sprawdź repertuar na
www.bilety.kinogram.pl

KINOGRAM

Kino KinoGram (piętro +2 nad FoodTown)
Ul. Żelazna 51/53
Warszawa

around, get past, squeeze more out of a day. That I turn 24 hours into 36. And because of that, I feel like I attract people with good energy — people who aren't hypocrites. And when I meet up with friends at concerts, of course I hear compliments from guys — and great, I love that. And with my female friends, we just talk normally. They don't suck up to me because they don't need to — I don't have anything to offer them, no contracts to hand out. I'd rather we gave each other even slightly insincere compliments than tore each other down, hated, and judged everything around us. "Oh, she did this..." "She went too far with those lips," "She had that done," "She did this or that" — come on, give me a break. My money, my lips, my body, my feelings, my dreams. I'm the one looking in the mirror, not you. Change the channel, that's all. So yes, I'd rather we gave each other even slightly fake compliments than be brutally honest.

Which compliment would satisfy you more? That you look beautiful, or that you're simply incredibly talented?

Ideally, both would be said in the same sentence.

But if you had to choose?

Probably, because of my vanity, I'd just want to hear that I look great. The thing with appearance is that you don't always feel equally attractive. But when it comes to talent—you're 200% sure no one can take that away from you. You're a powerhouse at what you do. Everyone, in their own professional field, if they've really earned their place, appreciates compliments in that area. But as women—we probably more often prefer compliments about our looks. Here's what I've been thinking—when someone says "you're talented," it doesn't really help my career. But when someone tells me I look nice, that I'm aging well, that I have great energy—it boosts my self-esteem. I've been in this profession for 26 years. Last year I celebrated my 25th work anniversary.

And for those 25 years, I've been trying, clawing my way forward to stay in the game. To sing, to keep doing what I do—because nothing was handed to me for free. Talent—sure, I have it—but I constantly polish it, because that's also hard work. I do a ton of different things just to maintain some kind of position and to function in this industry. There were many people who promised me things, and it all turned out to be... well, a bucket of shit. If someone genuinely came up to me and said, "Ma'am, you're very talented. We'll release your album with our money, we won't rob you, you'll just sing and we'll take care of radio promotion"—then sure, I'd gladly choose those kinds of compliments. But since that's not happening, I deeply appreciate it when people, privately, tell me I'm talented— That's amazing and it really makes me happy. But if someone from the industry said it, to be honest—I'd rather they just said I look good. Because when it comes to actual help and that talent... not much ever comes of it.

Have you ever done something against your own will when it comes to your appearance?

I understand that in an acting role, it's different—you've got a scene to play, they dress you how they want.

But what about concerts? Do you have control over what you wear and how you look?

Yes, I have control. Right now I work with an amazing team that knows me and knows what looks good on me. I have people who know which cuts suit me, what makeup works, how to style my hair so I look and feel good. In this line of work, over 26 years, there have been ups and downs. I've made a ton of mistakes, including the mistake of getting my eyebrows tinted with henna. I remember it perfectly. Maybe it was henna, maybe something else—but the result was that people would mimic an owl when they saw me on the street. I walked out of that "salon"—it was a salon, not an atelier—and I thought I looked fantastic.

Did they turn you away from the mirror, or what happened?

I just trusted them. They did my brows—I remember I had dubbing that day or something like that. I didn't smoke, but I found out that cigarette ash supposedly helps remove it a bit. I'll never forget that dubbing session—I asked the engineer if he could save the ash from his cigarette. And he calmly, without batting an eye, said: "Is it about your eyebrows?" And I said: "How did you know?" And he said: "Because my wife did the same thing." So yeah—I'm not alone in these mistakes. With clothes too, there were times something didn't work. And the truth is—I'm a woman. I try on a costume one day and it looks great, two weeks later on concert day, I'm puffy. It's happened many, many times.

What would you tell your younger self about beauty, acceptance, and what really matters in life—knowing what you know today?

I think I wouldn't tell her anything. And if I did—it would be that she has an amazing sense of humor. And that's what keeps her young. And that thanks to it, she'll always stay young. I look at my mom. She's super young—not just because she uses face creams, though she totally does and knows more about them than I ever will. Whenever I visit, she tells me that what I'm doing to my face is a scandal. That I should be patting my skin and using creams. And I always reply: "Mom, you know that's never going to happen." She's way ahead of me. But she's young not because of creams. She has an incredible sense of humor, amazing energy, she's a rocket in life. She's younger than most people her age—even though she's never had plastic surgery, never used the "enhancements" we often reach for. She's simply a well-groomed, full-of-life woman. A comedian. And that's probably what I'd tell the younger Olga: Don't lose that sense of humor. Because it saved my ass many times—especially when things were really bad. Many times, my sense of humor saved my image, my singing, my relationships. Even when I couldn't fit into a costume that had fit perfectly just a week before. It simply saves me. **II**

**Podziękowania za udostępnienie
przestrzeni na sesję zdjęciową dla Fabryki
Norblina i Kina Kinogram**





FREEDOM – WOLNOŚĆ BYCIA SOBĄ W MODZIE.



TEKST I ZDJĘCIA MAT. PRAS.

W świecie mody, który coraz częściej opowiada historię o wolności, akceptacji i radości z bycia sobą, marka FREEDOM wyróżnia się autentycznością. Jej projekty nie są tylko kolejnymi kompletami bielizny – to manifest stylu życia, który mówi: „Nie muszę się dopasowywać. To rzeczywistość ma dopasować się do mnie”.

FREEDOM to marka dla dziewczyn i kobiet, które kochają siebie. Dla tych, które potrafią łączyć luz ze zmysłowością, wygodę z modą, bieliznę z codzienną stylizacją. I robią to z niepowtarzalnym urokiem. Każda kolekcja, to inna historia – pełna emocji, humoru i wyczucia trendów. SS'25 to kolorowa opowieść o przyjaźni, miejskiej wolności i życiu bez scenariusza. Bo właśnie o to tu chodzi – o bieliznę, która nie zamyka w schematach, ale uwalnia. Miękkie topy, majtki w klimacie streetwear-u, wygodne kroje, lekkie materiały – to wszystko sprawia, że kolekcja SS'25 nie tylko dobrze wygląda, ale jeszcze lepiej się nosi.

FREEDOM nie podąża utartymi ścieżkami. To bielizna zaprojektowana z myślą o kobietach, które cenią swobodę i lubią bawić się stylem. Idealnie pasuje do jeansów i oversize'owych bluz, ale też do T-shirta, czy sukienek. Sprawdzi się i na



poranne wyjście po kawę i na wieczorną imprezę. Dla tych, które wiedzą, że najpiękniejsze są wtedy, kiedy są sobą. Marka nie bez powodu ma fanki w całej Europie. W klimacie nowych kolekcji można się zakochać – i to bez końca. Lato z FREEDOM to nie tylko nowa bielizna. To sposób, by powiedzieć światu: jestem wolna, jestem sobą i wyglądam przy tym świetnie.

Więcej na <https://freedom.ossv.eu/>
<https://www.instagram.com/freedom.byobsessive/>



KASIA CZAJKA-KOMINIARCZUK

POLITYKA RZĄDZI FILMEM

OD ZAWSZE

TEKST KAROLINA CIEŚLESKA
ZDJĘCIA EWA PARTEKA



Karolina Ciesielska: Pomyślałam, że zacznę od pytania inspirowanego twoją książką, *Filmy na życie*. Mamy jeszcze ten okres przejściowy między zimą, a wiosną. Trochę już jest ciepło, a trochę zimno. Mamy dużo obowiązków, a już chcielibyśmy korzystać z pogody. Czy są jakieś takie filmy, które są dobre na ten czas, które są w stanie uzdrowić to nasze samopoczucie?

Katarzyna Czajka-Kominiarczuk: Nie wiem, czy ktokolwiek jest w stanie uzdrowić samopoczucie Polaka, któremu nagle z 20 stopni, zrobiło się niecałe 10 – to jest zbyt bolesny cios prosto w serce. Dobrze w takim okresie oglądać filmy, które nam przypominają, że czasami bywa w tym kraju ciepło i miło. Gdy nadchodzi wiosna, to zaczynam zatapiać się w filmach polskich. Mam poczucie, że ta nasza polska wiosna jest bardzo charakterystyczna. Polska wiosna i lato bardzo dobrze wypadają na taśmie filmowej. Filmy kręcone w tym okresie cieszą mnie nie tylko ze względu na fabułę, ale także przez to, że „wyciągają” moje wspomnienia związane z wakacjami, związane z tym, że jest już maj, już jest ciepłutko. Ostatnio robiłam powtórkę *Nigdy w życiu* – uważam, że to jest jedyny film w Polsce, który romantyzuje przejeżdżanie pociągiem podmiejskim przez most w Warszawie nad Wisłą.

W ogóle filmy, które romantyzują takie małe rzeczy są świetne. To jest uważności.

Tak, a potem możemy to przenieść na nasze życie. Gdy przejeżdżam kolejką podmiejską przez Wisłę, to zawsze jak Judyta – jadę rozpocząć nowe życie w Aninie.

Czyli soundtrack też jest w głowie.

Oczywiście, ale to chyba w ogóle jest takie charakterystyczne, że zawsze, kiedy wybieramy się w długą podróż samochodową, pewne melodie od razu przychodzą do głowy – wtedy pojawia się poczucie, że jest się bohaterem w swoim własnym filmie. Na przykład *Córka trenera* – to jest mniejsza polska produkcja, moim zdaniem bardzo dobra, która rozgrywa się właśnie latem, bohaterowie też dużo jeżdżą po Polsce. Ten film zawsze przynosi mi w miejsce, gdzie jest pięknie, ciepło i zielono. Gdy tracę nadzieję, to właśnie takie filmy oglądam.

Mam jednak wrażenie, że te kolory zawsze są lekko w sepii – zastanawiam się, czy to dlatego, że nasze lato naprawdę tak wygląda, czy po prostu te filmy są w taki sposób skonstruowane. Mówisz, że to są filmy, do których wracasz – a przecież najczęściej wracamy do filmów, które poprawiają nam humor. Zastanawiam się, czy to kwestia tego, że lubimy coś oglądać ponownie, bo mamy pewność, że sprawi nam to przyjemność, czy może współczesne kino i nowe filmy również mają takie terapeutyczne działanie? A może coraz rzadziej trafiamy na filmy, które w ten sposób na nas działają?

W każdej epoce czy dekadzie znajdziemy film, który do nas trafia. To jest ta niesamowita umiejętność kultury, rozmowy pomiędzy dwójką ludzi. Jeśli te dwie osoby się spotkają i rozumieją wzajemnie, to taki film, książka czy utwór muzyczny zapadną w pamięć. Inną sprawą jest wracanie do rzeczy, które już znamy. Po pierwsze – nam się tylko wydaje,

że je znamy. Bardzo często pamiętamy tylko szczególne sceny, rzeczy, które zrobiły na nas największe wrażenie. Na przykład pamiętamy, że jakiś film nie-samowicie nam się podobał, a potem okazuje się, że to wcale nie o film chodziło – byliśmy wtedy na randce w kinie, chłopak był przystojny i to on nam się podobał, ale całe doświadczenie złożyło się w jedno. Pamiętam, jak oglądałam pierwszą *Mamma Mia!* w małym kinie w Londynie. Byłam wtedy pomiędzy pierwszym a drugim rokiem studiów, na długim wyjeździe językowym. Poszłam do kina z przyjaciółkami, to był pierwszy film w moim życiu, który zobaczyłam bez polskich napisów. Był piękny, letni dzień – i w mojej głowie *Mamma Mia!* to do dziś najpiękniejszy letni film w historii. No i teraz wyobraźmy sobie, że wracam do tego filmu trzy lata później. Jestem w Warszawie, za oknem listopadowy deszcz, oglądam ten film jeszcze raz – i to nie jest już ten sam film. Mam poczucie, że prawda jest taka: nawet jeśli filmy się nie zmieniają, mają te same sceny, to ponieważ my się zmieniamy, jesteśmy za każdym razem kimś innym, za każdym razem znajdujemy w nich coś nowego. Nawet jeśli oglądamy film w kółko i wydaje nam się, że znamy go od podszewki, to zmiany, które w nas zachodzą – fakt, że się starzejemy, że z czasem zaczynamy rozumieć inne postaci, że przychodzimy do filmu z nowymi doświadczeniami – sprawiają, że każdy powrót jest tak naprawdę odkryciem. I ja bardzo do tego zachęcam. Wiem, że jest wiele osób, które mówią: „Nie, nie będziemy wracać do tego, co już znamy, tyle się produkuje, tyle jest do obejrzenia.” A ja mówię: nie! Bo właśnie powrót do tego, co nas kiedyś zachwyciło, zmartwiło, albo nawet nam się nie podobało – bardzo często okazuje się odkryciem. Na przykład uwielbiam czytać rzeczy, które czytałam, kiedy byłam dwudziestolatką. Teraz, kiedy zbliżam się do czterdziestki, jestem bliżej tego wieku, który określa się jako średni. Mój ulubiony przykład to *Kochane kłopoty* (*Gilmore Girls*). Jak się jest nastolatką i ogląda ten serial, patrzy się z perspektywy Rory, która dopiero wchodzi w życie. A teraz już jestem w wieku jej matki – i to jest zupełnie inny serial.

Tak, ja tak zawsze miałam z Seksem w wielkim mieście. Z każdym rokiem myślałam: „Jeszcze nie jestem w wieku bohaterki, jeszcze nie jestem w tym momencie, kiedy one zaczynały...” Cały czas czekałam, aż to się wydarzy – i nagle przyszła taka chwila: hmm... (śmiech).

Tak! Albo jest się dokładnie w tym wieku, albo starszą – i myślę: „O mój Boże, jakie one były nieogarnięte”. Bo już wiem, w jakim momencie życia wtedy byłam. I to jest właśnie ta zmiana – ja ją bardzo lubię. Uważam, że właśnie dlatego te powroty są takie ciekawe. Oczywiście każdy ma swoje comfort movies, prawda? Takie, które chciałby zatrzymać w czasie, żeby się nie zmieniały. Ale one też się zmieniają.

No właśnie. Moimi comfort movies zawsze były komedie romantyczne – od kiedy byłam młodszą. I teraz, ilekroć sięgam po jakąś komedię romantyczną, nową albo taką, której jeszcze nie znam, to jestem rozczarowana. I zastanawiam się,





czy to dlatego, że ja się zmieniałam, czy może dlatego, że ten gatunek już się skończył. Że po prostu nie ma już dobrych komedii romantycznych.

To jest skomplikowane, bo komedia romantyczna to gatunek, który ciągle ewoluuje. Możemy go wyciągnąć właściwie już od Szekspira — Wiele hałasu o nic to przecież klasyczna komedia romantyczna. Nie lubią się, docinają sobie, a potem się schodzą. Natomiast jeśli spojrzymy na kinematografię, to komedia romantyczna od lat 30. XX wieku cały czas się przekształca — ma swoje lepsze i gorsze momenty. My, jako pokolenie, trafiliśmy na moment wyjątkowo charakterystyczny w rozwoju tego gatunku. To znaczy: druga połowa lat 90., końcówka dekad — pojawia się brytyjska komedia romantyczna spod znaku Richarda Curtisa. Od Czterech wesel i pogrzebu zaczyna się rozwijać ten specyficzny nurt: Brytyjczycy, którzy nie potrafią dojść do ładu ze swoimi emocjami, zakochujący się w niewłaściwy sposób. Równocześnie mamy rozkwit amerykańskiej komedii romantycznej, tej nowej fali, która — powiedzmy — zaczyna się od Pretty Woman w latach 90. I każda z tych komedii romantycznych w jakiś sposób próbuje oddać swoje czasy. Problem polega na tym, że gatunkowo komedia romantyczna jest bardzo ograniczona. Czym ona właściwie jest? To melodramat, który dobrze się kończy. Mamy przeciwności losu, jest coś, co sprawia, że bohaterowie nie mogą być razem — ale dzięki chemii i determinacji, pokonują przeszkody i w końcu się schodzą. Do tego komedia romantyczna w dużym stopniu opiera się na różnicach między płciami — to główne źródło humoru, kobiety i mężczyźni próbują się dogadać. Ten schemat gatunkowy jest zamknięty. Idąc na komedię romantyczną, nawet jeśli sami przed sobą się do tego nie przyznajemy, to przecież doskonale wiemy, jak to się skończy. Nawet bez wchodzenia do kina. Więc sukces filmu zależy właściwie od dwóch rzeczy: od tego, na ile twórcy potrafią ciekawie rozegrać napięcia między kobietą a mężczyzną oraz od chemii między aktorami. Bo jeśli ta chemia jest, to nawet przy kiepskim scenariuszu i tak chcemy to oglądać. Dla mnie świetnym przykładem jest Jak stracić chłopaka w 10 dni — Matthew McConaughey i Kate Hudson. Scenariusz, jeśli się mu przyjrzeć, jest beznadziejnie głupi — ale chemia między aktorami robi całą robotę. I teraz, moim zdaniem, problem współczesnej komedii romantycznej opiera się na dwóch rzeczach. Po pierwsze: jesteśmy w takim momencie relacji damsko-męskich, w którym tradycyjne schematy, na których opierały się te filmy — czyli pragnienie romantycznej miłości, chęć znalezienia „tego jedyne”, który musi być przystojny i bogaty. Te schematy coraz trudniej ograć w sposób komediowy. Coraz trudniej też ustalić, jak to wszystko właściwie ma wyglądać. Kto ma dyktować warunki? Kto ma czekać na SMS-a? Kto ma być dumny, a kto uprzedzony? Druga sprawa to kwestia obsady. Wydaje mi się, że wiele klasycznych komedii romantycznych opierało się na duecie: bardzo młoda, świeża aktorka i trochę dojrzalszy mężczyzna. Dziś widownia tego już nie kupuje, bo zorientowaliśmy się, że w tych filmach różnica wieku wynosiła często

kilkanaście lat. Teraz chcemy równolatków. Tylko że — i tu, moim zdaniem, zaczyna się problem — bardzo trudno dobrać aktorów, którzy pasują do siebie w tym schemacie komedii romantycznej, są w podobnym wieku i jednocześnie nie wykorzystali jeszcze wszystkich komediowych chwytów. Więc tak, komedia romantyczna przeżywa kryzys. Ale uwaga, uwaga — chyba znaleźliśmy z niego wyjście. I wyjściem z tego kryzysu — czego przykładem są Bridgertonowie — jest przeniesienie akcji w przeszłość. Bo wtedy możemy rozegrać to wszystko poza współczesnymi realiami i powiedzieć: „takie były czasy”, prawda?

Czyli wtedy nie razi nas pewien rodzaj komizmu czy ironii, z jaką podeszlibyśmy do tych samych sytuacji, gdyby działy się tu i teraz. W realiach historycznych po prostu przyjmujemy, że to się działo wtedy, że to już przeszłość — więc w pewnym sensie wszystko to staje się bardziej uzasadnione i łatwiejsze do zaakceptowania.

Tak, bo przecież komedia romantyczna opiera się na tym, że bohaterowie chcą być ze sobą, ale nie mogą. W związku z tym najlepiej działa, gdy ograniczenia — tak jak w melodramacie — narzuca im społeczeństwo. Żyjemy w świecie, w którym ludzie właściwie nie mają już takich ograniczeń. Mamy Tindera, spotykamy się z kim chcemy, kiedy chcemy, jak chcemy. Robimy, co chcemy i nie psuje to naszej reputacji. Nikt już się nie chwytą za perły w operze, kiedy ktoś pojawi się z „niewłaściwą” osobą. Wszyscy są w jakiejś situationship. Nawet nie chcemy już mówić „randkowanie”. Situationship — czyli coś, a może nie, kto wie, o co chodzi. I w takim świecie, w którym te przeszkody znikają, bardzo trudno rozegrać klasyczny schemat komedii romantycznej. Bo komedia to perypetie bohaterów zakończone happy endem. Czy znajdziemy do tego nowy klucz? Myślę, że tak. Komedie osadzone w przeszłości pozwalają nam rozegrać wątki, które dzisiaj już nie istnieją. Druga rzecz — raz na jakiś czas komedię romantyczną ożywia film, którego nikt się nie spodziewa. Tak było w latach 90. z Czterema weselami i pogrzebem — filmem, który poza Wielką Brytanią był wtedy mało znany, obsadzonym w zasadzie nieznanymi aktorami, a który stał się gigantycznym hitem. Wniósł zupełnie nowy rodzaj humoru i ironii do komedii romantycznej — coś, czego amerykańska wersja tego gatunku w tamtym czasie nie miała. Ona też miała dobre filmy, jasne, ale przeżywała lekki kryzys egzystencjalny. Poza tym mam też wrażenie, że komediom romantycznym bardzo szkodzi coś, co ja nazywam hallmarkizacją. Hallmark to firma, która zaczynała od kartek okolicznościowych, ale ma też swoją telewizję produkującą te słynne setki filmów świątecznych — i przez cały rok również komedie romantyczne. Filmy te oparte są na dwóch zasadach: po pierwsze — są ekstremalnie pruderyjne. Na bohaterów przypadają może dwa pocałunki na cały film, maksimum.

Trochę jak w K-dramie.

Tak i do tego wszystkiego — to zawsze są biali ludzie, w pięknych, małych miasteczkach, gdzie zawsze trwa albo jesień, albo środek lata. A konflikty między bohaterami są takie, że ona robi jedną oliwę,



a on drugą, rywalizują ze sobą – czy on robi wino, a ona czy piecze ciasteczka... wszyscy znamy ten schemat. Ponieważ te filmy kręci się bardzo łatwo, są tanie i właściwie scenariusz pisze się sam, to takie platformy jak Amazon czy nawet Netflix, zaczęły kopiować ten format. I kiedy spojrzymy na nowe komedie romantyczne na Netflixie, to one nie są już z ducha kina komedii romantycznych, tylko raczej telewizyjnych komedii romantycznych.

To jest coś, co może być też fajnym wstępem do naszego kolejnego tematu. Bo jesteśmy teraz w takim momencie pomiędzy dwoma ważnymi wydarzeniami w świecie filmu: minęły dwa miesiące od rozdania Oscarów, a za chwilę rusza festiwal filmowy w Cannes. Wydaje mi się, że już teraz można powiedzieć coś o tendencjach, które rysują się w kinematografii w 2025 roku. Jak ty to widzisz?

Jeszcze jest trochę za wcześnie. Na pewno – ogólnie rzecz biorąc – kinematografia ma teraz problem, Bo trochę nie wiadomo, jak przyciągnąć ludzi do kina. Obecnie najlepiej zarabiającym filmem 2025 roku jest Minecraft: The Movie i wygląda na to, że brakuje pomysłu, jak Hollywood ma zachęcać widzów do wyjścia z domu. Oczywiście mamy kino niezależne, które jest cudowne. W Polsce jesteśmy teraz w takim dziwnym momencie, kiedy do naszych kin wchodzi filmy z zeszłego roku. Mamy to charakterystyczne przesunięcie i ono jest ciekawe – bo na przykład całkiem niedawno do polskich kin trafił The Last Showgirl, film, który był bardzo głośny tuż przed Oscarami. Albo Queer, który był omawiany już pięć miesięcy temu. Natomiast jeśli chodzi o ogólne tendencje w kinie – dla mnie to zdecydowanie za wcześnie, żeby coś konkretnego powiedzieć. Głównie dlatego, że po Oscarach następuje taki moment oddechu. Mniej więcej na wiosnę wszystko się zaczyna. Jest Cannes, więc teraz nikt nie wypuści nic dużego przed festiwalem. To moment prób wprowadzenia pierwszych komercyjnych hitów roku – trzeba się wyrobić przed wakacjami. A potem znowu końcówka roku, kiedy nie będziemy wychodzić z kina, bo premiera będzie gonić premierę. **Skoro mówisz, że jeszcze za wcześnie, żeby na podstawie filmów wyciągać wnioski o nadchodzących tendencjach, to może podejźmy od innej strony. Zakładając, że nastroje społeczne mają wpływ na kino – a mają – to czy możemy przewidzieć, co się wydarzy w kinematografii w najbliższych miesiącach?**

Nie – i już powiem ci dlaczego. Bo musimy pamiętać, że kino jest niesamowicie przesunięte w czasie. To bardzo ważne. Założmy, że teraz w Stanach Zjednoczonych panuje napięcie – rosną nastroje konserwatywne, czasem wręcz nacjonalistyczne, a z drugiej strony mamy też silne reakcje przeciwne, nastroje antynacjonalistyczne. Ten podział i napięcie trwają już od wielu lat, ale kinematografia opowie nam o nich dopiero za jakieś 11 miesięcy. Dlaczego? Bo dziś ktoś dopiero pisze scenariusz. Ten scenariusz musi zostać kupiony, musi przejść przez decyzje produkcyjne, film trzeba nakręcić, zmontować i dopiero potem trafi on do kin. Więc kino zawsze działa z opóźnieniem względem tego, co dzieje

się tu i teraz. Pytanie, które zadają sobie właściwie wszyscy – i które mnie też intryguje – to, jeśli mielibyśmy mówić o przyszłości, brzmiałoby: co dalej? Obecny zwrot polityczny w Stanach Zjednoczonych – a mówimy przecież o dominującej kinematografii na świecie – to zwrot, który mówi: koniec z reprezentacją, koniec z różnorodnością. Najlepsze czasy USA to te, gdy punktem wyjścia był biały facet, najlepiej z domkiem i rodziną. I widać, że wielkie korporacje zaczynają się powoli zaczynają się wycofywać z programów, które miały zapewnić większą różnorodność – żeby nie na każdym stanowisku był właśnie ten sam biały mężczyzna z domkiem i rodziną. I teraz pytanie: czy to odbije się na kinematografii? Czy zobaczymy więcej pieniędzy dla projektów bardzo tradycyjnych, z białym, heteroseksualnym bohaterem na pierwszym planie, przeżywającym konserwatywnie pojmowane przygody?

Których przecież i tak nie brakowało.

No właśnie – to zawsze był dominujący typ filmu. Ale chodzi o to, czy decyzje castingowe z ostatnich lat – te próby wybadania gruntu, czy można obsadzić w klasycznej roli kogoś innego niż biały mężczyzna – będą nadal podejmowane? Czy studia filmowe będą wspierać aktorów, których wybierają do takich ról? Bo dziś ci aktorzy często przeżywają prawdziwe dramaty. Dobrym przykładem jest sytuacja wokół Królowny Śnieżki Disneya. To film, który – moim zdaniem – nie jest aż tak zły, jak twierdzi internet. Jest jak większość ostatnich adaptacji bajek Disneya. Trzeba też pamiętać, że to bajka, a dorośli widzowie odbierają ją inaczej. W tym filmie widać wiele nacisków i wiele sprzecznych pomysłów. A jednym z głosów, które się pojawiły – i to z poziomu produkcji – było to, że wszystkiemu winna jest Rachel Zegler, odtwórczyni roli Śnieżki. I tutaj chciałabym powiedzieć jasno: nie, to nie jest jej wina. Żadna aktorka, obsadzona w jakiegokolwiek roli, nie sprawi sama z siebie, że widzowie nie przyjdą do kina. I nie rozumiem, dlaczego to miałyby być jej wina – skoro w roli Złej Królowej obsadzono Gal Gadot, która jest powszechnie uznawana za bardzo słabą aktorkę. Do tego dochodzi jeszcze kwestia polityczna – w USA sprawa wojny izraelsko-palestyńskiej jest dużo bardziej na pierwszych stronach gazet, bo Stany są głównym sojusznikiem Izraela. A Gal Gadot, która jednoznacznie opowiada się po stronie Izraela, zniechęca wielu widzów z pokolenia milenialsów, którzy są bardziej propalestyńscy. Więc jeśli już mielibyśmy obwiniać jakąś aktorkę, to bardziej Gal Gadot niż Rachel Zegler. Do tego sama Rachel jest atakowana w sieci za to, że jest Latynoską – czyli nie ma „idealnie” białej skóry. I dla mnie wizja, że wielkie studio filmowe obsadza ją w głównej roli, wystawiając na taki hejt, a potem zrzuca na nią winę za niepowodzenie filmu... Złazcza, że prawdziwym problemem tego filmu są krasnoludki, które wyglądają jak z koszmaru i śnią się po nocach. Czy może zwał na nią to, że scenariusz był po prostu niedopracowany. Może był niedopracowany, bo powiedziała coś na czerwonym dywanie? Zresztą nie było to nic aż tak kontrowersyjne. I właśnie tu się rodzi pytanie: czy to stanie się modelem? Czy studia – które być może chętnie wrócą do tradycji-



nych schematów – nie tylko zacząć forsować bardziej konserwatywne castingi i narracje, ale także wrócić do bardziej rygorystycznego kontrolowania aktorów i aktorek? Hollywood zawsze miało do tego skłonności. I to oznaczałoby kontrolę nie tylko w pracy, ale też w życiu prywatnym – bo przecież każdy „skandal” może zagrozić zyskom. I to są kwestie, które mnie naprawdę zastanawiają. Widać, że cała branża filmowa się nad tym zastanawia. I chociaż teoretycznie była zawsze postrzegana jako liberalna i prodemokratyczna – to jednak nie zapominajmy, że za tym stoją gigantyczne korporacje.

No właśnie, o to też chciałam zapytać. I właściwie z tego, co mówisz, wysnuwa się taka smutna teza – zastanawiam się, czy zawsze się sprawdza – że polityka ma ogromny wpływ na to, co dzieje się w kinematografii. Pytanie więc: jak duży jest ten wpływ? Gdzie jest przestrzeń na kreację, na wyobraźnię, na wolność reżysera? I czy to Stany Zjednoczone mają największy problem z tym zjawiskiem, czy podobne tendencje można zaobserwować też w innych częściach świata?

Polityka zawsze rządziła filmem, odkąd tylko kinematografia się narodziła. Mamy na to historyczne przykłady – najbardziej wyraziste z lat 30., kiedy kino było elementem budowania władzy i określonych systemów.

Ale to jest jakaś część tej kinematografii.

Tak. Dziś jesteśmy w wyjątkowej sytuacji. Mamy głównonurtową kinematografię – ogromny, kapitalistyczny przemysł filmowy, który zawsze będzie w jakimś sensie powiązany z władzą, bo to wielkie biznesy. A duże biznesy zawsze „przytulają się” do władzy. Im bardziej autorytarna władza, tym bliżej się do niej tulą. To jest schemat, który dobrze znamy z historii. Z drugiej strony mamy kino niezależne. Tylko problem polega na tym, czy ktoś je w ogóle zobaczy. I to jest bardzo ciekawe, bo często zapominamy o tym w takich rozmowach – wydaje nam się, że mówiąc o politycznych problemach kina, mówimy o twórczości. A tymczasem to najmniej problematyczny aspekt. Dzisiaj każdy może nakręcić film, poruszyć trudny temat, złamać jakieś kulturowe tabu. Pytanie tylko: kto to zobaczy i w jaki sposób? Świetnym przykładem jest dokument, chyba z zeszłego roku, o powstawaniu związków zawodowych w Amazonie. Bardzo dobry, nagradzany na festiwalach. W Stanach praktycznie niemożliwy do obejrzenia – nikt nie chce go wziąć do dystrybucji.

A w internecie można go zobaczyć?

Można, ale tylko jeśli już wiesz, że istnieje i wiesz, gdzie go szukać. Jeśli nie zostanie kupiony przez żadną z platform streamingowych, to trafia tylko do bardzo ograniczonego grona odbiorców. I to właśnie jest problem – ta „tama” nie stoi na etapie produkcji filmu, tylko na poziomie dystrybucji. Czy Netflix go kupi? Czy Amazon Prime go kupi? A dziś kanały dystrybucji się zawężają. Te wielkie platformy streamingowe zjadające większość rynku, co przypomina sytuację z czasów tzw. Studio System, sprzed lat 60. w Stanach Zjednoczonych, kiedy wytwórnie filmowe posiadały własne kina i nie było jeszcze telewizji. Widzowie mogli oglądać tylko to, co dana wytwórnia wyprodukowała. Niezależne kino praktycznie nie istniało. Dopiero ustawy antymonopolowe i rozpad tego systemu dopro-

wadziły do wybuchu kina niezależnego w Stanach. A dziś trochę do tego wracamy. Amazon, Netflix, HBO produkują filmy i udostępniają je wyłącznie na swoich platformach. Więc decyzje nie zapadają już tylko na etapie „co produkujemy?”, ale przede wszystkim: „co pokażemy ludziom?”. Oczywiście, można wrzucić film na YouTube’a, stworzyć własną stronę itd. To nie jest tak, że internet nie daje możliwości. Ale patrząc na to, jak większość ludzi dziś ogląda filmy, jak bardzo nasze wybory stają się liniowe – włączamy telewizor, naciskamy przycisk z logo Netflixa i mamy 15 sekund na wybór, zanim się znudzimy. I pytanie brzmi: w jakim stopniu ten proces będzie się pogłębiał? Bo konsolidacja rynku dystrybucyjnego i producenckiego w Stanach się nasila. To skomplikowany mechanizm, który raczej nie zostanie zatrzymany. Z kolei kinematografia europejska – faktycznie bardziej zróżnicowana – też jest zależna od polityki. Bo każdy kraj ma swoje fundusze filmowe, które są jednym z głównych źródeł finansowania kina. Są one mniej podatne na zmiany polityczne, ale mimo wszystko – znów – kulturowa dominacja Stanów Zjednoczonych sprawia, że bardzo wielu europejskich filmów po prostu nie oglądamy. Nawet nie zadajemy sobie pytania, gdzie i czy w ogóle są dystrybuowane.

Poruszymy jeszcze jeden newralgiczny punkt, jeśli chodzi o przyszłość kinematografii – mianowicie sztuczną inteligencję. Ostatnio wokół tego tematu dużo się działo, szczególnie w kontekście animacji Miyazakiego i tego, że zaczęły pojawiać się animacje naśladujące styl jego twórczości, styl studia Ghibli. Zastanawiam się, jak bardzo możemy pozwolić sztucznej inteligencji wkroczyć do filmu, jak daleko może ona działać w kinematografii i w którym momencie zacznie psuć to, co w filmie najważniejsze.

Zacznijmy od tego, że sztuczna inteligencja już jest obecna w kinie. Wizja, że dopiero tam wejdzie, jest nieco zaburzona. Oczywiście w coraz większym stopniu, ale już dziś korzysta się z niej w dużym zakresie – chociażby do tworzenia najróżniejszych efektów wizualnych czy dźwiękowych w filmach. I moim zdaniem to nie jest nic złego. Każde narzędzie, które pozwala stworzyć film lepiej, w sposób bardziej immersyjny, jest w porządku. Oczywiście pod warunkiem, że – po pierwsze – przestrzegamy praw autorskich. A to właśnie jest główny problem ze sztuczną inteligencją. Bo sztuczna inteligencja niczego sama nie wymyśliła – ona się po prostu „nażarła” cudzej twórczości. Problem z Miyazakiem nie polega tylko na tym, że te animacje nie są jego autorstwa – one są gorsze, brzydsze, mniej kreatywne. Problem polega na tym, że ktoś zabrał Miyazakiemu efekt pracy jego życia, nie zapłacił za to ani grosza, i udostępnił wszystkim, jakby to było niczyje. A przecież istnieją prawa autorskie. Istnieje też prawo do zarządzania własną spuścizną twórczą. Jeśli chodzi o samo Hollywood, to przecież ostatnie strajki scenarzystów, aktorów i reżyserów toczyły się wokół potrzeby postawienia tamy sztucznej inteligencji. Żeby było jasne — studia filmowe nie znoszą płacić ludziom. Jeśli da się komuś nie zapłacić, to tym lepiej.

Myszę, że to jest problem szerszy, niż tylko w branży filmowej.





Czy —
*PINKO &
ALLSAINTS*
— mogą się przyjaźnić?

answear.com

Tak, ale przecież producent filmowy, który nie chce zapłacić, to historia Hollywood właściwie od zawsze. Różnica polega na tym, że po tych strajkach pojawiły się już pierwsze próby ograniczenia wpływu AI. Na przykład, żeby nie „karmić” AI scenariuszami ot tak, jak leci. Albo żeby nie można było stworzyć cyfrowej kopii osoby i potem umieszczać jej wizerunku w setkach filmów bez żadnego wynagrodzenia. Lektorzy — szczególnie ci pracujący przy grach wideo — również protestowali przeciwko wykorzystywaniu ich głosu do generowania kolejnych dialogów przez AI. To daje pewną nadzieję, bo te ograniczenia są wprowadzane na bardzo wczesnym etapie — jeszcze zanim technologia umożliwi wygenerowania „żywej osoby”, która zagra w filmie. Myslę, że problem w dyskusji o AI polega na tym, że zakładamy, iż ono zawsze będzie dostępne i tańsze od ludzi. A to nie do końca prawda. Na pewnym poziomie rzeczywiście oplaca się stworzyć coś przy pomocy AI, ale na innym — koszt tych programów i uzyskania odpowiedniego efektu może przewyższyć koszt zatrudnienia człowieka. Zwłaszcza że ludziom będzie się mówić, że nie dostaną podwyżki, bo AI może ich zastąpić. Ale to wszystko zależy od tego, jak AI będzie wykorzystywana w produkcji filmowej. Na pewno nie zawsze taniej będzie zrobić wszystko przy pomocy AI, na jakimś poziomie koszt tych programów i tego, żeby to dobrze wyglądało, będzie przerastać koszt zatrudnienia człowieka. Wydaje mi się, że chodzi tu mniej o to, czy ludzie będą pracować przy filmach, a bardziej o to, z jakim budżetem będą te filmy powstawały. A jeśli chodzi o stronę kreatywną — AI nie jest kreatywna. Ona niczego sama nie wymyśli. AI potrafi wypłuć kompilację tego, co już powstało. A przecież najlepsza kinematografia opiera się na czymś, co niby już widzieliśmy, ale nigdy w taki sposób. I dlaczego nie widzieliśmy tego wcześniej? Bo nigdy wcześniej ta konkretna osoba tego nie zrobiła. To nie jest tak, że Quentin Tarantino wymyślił nową kinematografię — ale nikt wcześniej nie kręcił filmów w taki sposób. To samo z Davidem Lynchem — nie chodzi o to, że nikt nie robił wcześniej podobnych rzeczy, ale jednak jest coś, co czyni jego filmy „lynchowskimi”, prawda? Dlatego właśnie mamy taki przymiotnik. Bo patrzymy i mówimy: „to nie przypomina niczego innego — to jest lynchowskie”. Jak widzimy zwiastun nowego filmu Sorrentino, to też od razu widać, że chociaż niektórzy włoscy reżyserzy robią proste, piękne filmy balansujące między jawą a snem, to jednak Fellini kręcił inaczej niż Sorrentino. II

ENGLISH

KATARZYNA CZAJKA-KOMINIARCZUK - POLITYKA RZĄDZI FILMEM OD ZAWSZE

Karolina Ciesielska: *I thought I'd start with a question inspired by your book Films for Life. We're still in this transitional period between winter and spring. It's kind of warm, kind of cold. We've got a lot of responsibilities, but we already want to enjoy the weather. Are there any films that are good for this time of year, that can heal our mood a bit?*

Katarzyna Czajka-Kominiarczuk: I don't know if

anyone can heal the mood of a Pole who just experienced a drop from 20°C to barely 10°C – that's a painful blow straight to the heart. During times like this, it's good to watch films that remind us it can be warm and pleasant in this country. When spring comes, I find myself sinking into Polish films. I feel like our Polish spring is very distinctive. Polish spring and summer look really good on film. Films shot during that time make me happy not just because of the plot, but also because they draw out memories – of vacations, of May, when it's already warm. Recently I rewatched *Never Again* – I think it's the only film in Poland that romanticizes commuting on a suburban train over the bridge in Warsaw across the Vistula River.

In general, films that romanticize small things are fantastic. That's mindfulness.

Yes, and then we can transfer that into our own lives. When I'm crossing the Vistula by suburban train, I always feel like *Judyta* – off to start a new life in Anin.

So the soundtrack is also in your head?

Of course! But I think that's something universal – whenever we set off on a long road trip, certain melodies instantly come to mind, and suddenly we feel like the protagonist in our own movie. *Coach's Daughter*, for example – a smaller Polish production, but in my opinion a really good one – takes place in the summer, and the characters travel a lot across Poland. That film always takes me to a place that's beautiful, warm, and green. When I lose hope, I watch those kinds of films.

But I always feel like the colors in those films are slightly sepia-toned – and I wonder if that's because our summers really do look like that, or because the films are constructed that way. You say these are films you return to – and we usually return to films that lift our spirits. I wonder whether it's about the comfort of rewatching something familiar, or whether modern films can also have that same therapeutic effect? Or is it just harder now to find films that make us feel that way?

Every era, every decade, has its films that reach us. That's the amazing power of culture – it's like a conversation between two people. If those two people connect and understand each other, then a film, a book, or a piece of music will stay with them. Another aspect is returning to things we think we know. Because often, we only remember certain scenes – the parts that made the biggest impression on us. Like, we remember loving a film, but it turns out it wasn't about the film – we were on a date at the time, the guy was attractive, and he is what we liked – but the whole experience blurred together. I remember watching the first *Mamma Mia!* in a tiny cinema in London. I was between my first and second year of university, on an extended language trip. I went with my friends, and it was the first film I ever saw without Polish subtitles. It was a beautiful summer day – and to this day, *Mamma Mia!* is the most perfect summer film in my mind. But imagine watching it again three years later. I'm back in Warsaw, it's pouring rain in November, and I rewatch it – and it's not the same film anymore. I really believe that even if films don't change – the scenes are the same – we change. Each time we're someone dif-

SKLEP INTERNETOWY stworzony specjalnie dla przyjaciół anywhere.pl

anywhere.pl

BUY TOO

► MOLTON



Czarny żakiet o prostym fasonie w tenisowy prążek. Elegancki czarny żakiet o wygodnym w noszeniu lekko taliowanym fasonie to uniwersalny wybór do biurowych oraz wyjściowych stylizacji. Został wykonany z wysokiej jakości materiału z dodatkami wiskozy, który dobrze układa się na sylwetce. | Cena: 749 zł

► MOLTON



Czarno-biały golf w pepitkę z wełną. Mięśista dzianina zestawiona ze zwiewnym krojem plisowanej spódnicy midi zapewnia zjawiskowy efekt. Przyjemny w dotyku materiał z dodatkami naturalnej wełny jest miękkie, ciepły i doskonale układa się na sylwetce. | Cena: 349 zł

► Fanny's DESIGN



Bransoletka LEATHERBROWNBIGBIT. Majestatyczna, wyrafinowana bransoletka wykonana z wysokiej jakości naturalnej skóry wykończona dużym wędzidłem w srebro - próba 925. | Cena: 250 zł

więcej na

buytoo.pl

ferent, and we discover new things in them. Even if we watch a film over and over, thinking we know it inside out, the changes we go through – the fact that we age, start to relate to different characters, approach the film with new experiences – make every rewatch a rediscovery. And I really encourage that. I know a lot of people say, “No, we won’t go back to stuff we already know, there’s so much new content to see.” But I say: no! Because revisiting something that once thrilled us, upset us, or even disappointed us – often turns into a whole new discovery. I love reading things I read in my twenties. Now that I’m nearing forty – the so-called “middle age” – it’s a completely different experience. My favorite example is *Gilmore Girls*. As a teen watching it, you relate to Rory, just starting out in life. Now I’m the age of her mom – and it’s a totally different show.

Yes! That’s always how it was with *Sex and the City* for me. Every year I’d think: “I’m still not the age the characters were when they started...” I kept waiting for that moment to come – and suddenly it did. Hmm... (laughs).

Right! Either you’re exactly that age or even older – and you think, “Oh my God, how clueless they were.” Because now you know what point of life you were in back then. And that change – I love it. That’s why those returns are so interesting. Of course, everyone has their comfort movies, right? The ones you wish could be frozen in time and never change. But they change too.

Exactly. Romantic comedies have always been my comfort movies – ever since I was younger. But now, whenever I reach for a new one or one I haven’t seen before, I feel disappointed. And I wonder – is it because I’ve changed, or because the genre is just over? That there just aren’t any good rom-coms anymore?

That’s a complicated question, because the romantic comedy is a genre that’s constantly evolving. You can trace it back to Shakespeare – *Much Ado About Nothing* is a classic rom-com. They bicker, they tease each other, and then they get together. But in terms of cinema, romantic comedies have been transforming since the 1930s. Our generation hit a particularly distinct moment in the genre’s development – the late ‘90s, especially the British rom-com wave from Richard Curtis. Starting with *Four Weddings and a Funeral*, we got that specific style: emotionally awkward Brits falling in love in all the wrong ways. At the same time, the American romantic comedy was also flourishing – a kind of new wave that arguably began with *Pretty Woman* in the early ‘90s. Each of those rom-coms tried to reflect the times they were made in. The problem is that the rom-com genre is structurally very limited. What is it, really? A melodrama with a happy ending. There are obstacles, something keeping the characters apart – but through chemistry and determination, they overcome it and end up together. Also, romantic comedies often hinge on gender differences – that’s their main source of humor, the effort of men and women trying to understand each other. The genre’s framework is closed. When we go see a rom-com, even if we don’t admit it to ourselves

– deep down, we already know how it will end.

So in those cases, we’re not bothered by a certain kind of humor or irony that we might apply to the same situations if they were happening here and now. In a historical setting, we simply accept that it happened then, that it’s in the past — so in a sense, everything becomes more justified and easier to accept.

Yes, because romantic comedy is essentially based on the fact that the characters want to be together, but they can’t. So it works best when the obstacles — just like in melodrama — are imposed by society. We live in a world where people basically no longer face such restrictions. We have Tinder, we meet who we want, when we want, how we want. We do what we want, and it doesn’t ruin our reputation. No one clutches their pearls at the opera anymore when someone shows up with the “wrong” person. Everyone’s in some kind of situationship. We don’t even want to use the word “dating” anymore. Situationship – something that maybe is or maybe isn’t anything at all, who knows what it even means. And in a world where those barriers have disappeared, it’s very hard to run the classic romantic comedy playbook. Because comedy is about the characters’ struggles ending in a happy ending. Will we find a new formula for that? I think we will. Comedies set in the past let us explore themes that no longer exist today. Another thing is that once in a while, a romantic comedy gets revived by a film that no one saw coming. That’s what happened in the ‘90s with *Four Weddings and a Funeral* – a film that outside of the UK was relatively unknown, with mostly unknown actors, but which became a huge hit. It brought a completely new kind of humor and irony to romantic comedy – something the American version of the genre didn’t have at the time. Sure, they had good films too, but the genre was going through a bit of an existential crisis. Besides, I also feel that romantic comedies are being seriously hurt by something I call the “Hallmark-ization” of the genre. Hallmark is a company that started with greeting cards, but it also has its own TV channel that produces those famous hundreds of holiday movies – and year-round romantic comedies too. These films are based on two rules: first – they are extremely prudish. The characters might get two kisses in the whole film, max.

A bit like in K-dramas.

Exactly, and on top of that – it’s always white people, in beautiful small towns, where it’s either always autumn or the height of summer. And the conflicts between the characters are things like she makes one kind of olive oil, and he makes another, and they’re rivals – or he makes wine and she bakes cookies... we all know the formula. Because these films are easy and cheap to produce, and the script practically writes itself, platforms like Amazon and even Netflix started copying the format. And if you look at the newer romantic comedies on Netflix, they’re no longer in the spirit of classic romantic cinema, but rather feel like made-for-TV romantic comedies.

That leads nicely into our next topic. We’re currently in between two major events in the film



world: two months have passed since the Oscars, and the Cannes Film Festival is just around the corner. I feel like we can already say something about the trends taking shape in 2025's cinema. What's your take?

It's still a bit early. For sure — generally speaking — cinema is in a tough spot right now, because no one really knows how to get people back into theaters. The highest-grossing film of 2025 so far is Minecraft: The Movie, and it seems like Hollywood is out of ideas on how to convince audiences to leave their homes. Of course, we have independent cinema, which is wonderful. In Poland, we're in this odd moment where our theaters are showing films from last year. There's this characteristic delay, which is interesting — for example, The Last Showgirl just hit Polish cinemas, even though it was a hot topic just before the Oscars. Or Queer, which was discussed five months ago already. As for overall trends in film – for me, it's still too soon to say anything specific. Mostly because after the Oscars, there's a bit of a lull. Things really start picking up in the spring. Cannes is coming up, so no one wants to release anything big before the festival. This is the time when the first commercial hits of the year start to appear — you have to make the summer deadline. And then it's the end of the year again, when we practically live in the cinema because one premiere follows another.

Since you say it's too early to draw conclusions from current films, maybe let's look at it from another angle. Assuming that social moods influence cinema — and they do — can we predict what's coming in the next few months in film?

No — and I'll tell you why. Because we have to remember that cinema is incredibly delayed in time. That's very important. Let's assume there's tension in the U.S. right now – a rise in conservative sentiments, even nationalist ones, and on the other hand, strong opposition and anti-nationalist sentiments. This divide and tension have been ongoing for years, but cinema won't show us this for another 11 months or so. Why? Because right now, someone is just writing the script. That script has to be bought, go through production decisions, the movie has to be shot, edited, and only then will it reach cinemas. So cinema always lags behind what's happening in real time. The question everyone's asking – and one that intrigues me too – is: what's next? The current political shift in the U.S. — and we're talking about the world's dominant cinema industry — is one that says: no more representation, no more diversity. The best era of America was when everything started with a white man, preferably with a house and a family. And you can see that big corporations are slowly pulling back from programs aimed at ensuring greater diversity — so that not every single position is held by the same white man with a house and family. And now the question is: will this affect

cinema? Will we see more money flowing into very traditional projects, with a white, heterosexual male protagonist at the center, going through conservatively framed adventures?

Which, let's be honest, were never really in short supply anyway.

Exactly – that kind of film has always dominated. But the point is whether the casting decisions of recent years – those attempts to test the waters and see if someone other than a white man can be cast in a classic role – will continue to be made. Will film studios continue to support the actors they choose for such roles? Because today, those actors often go through real turmoil. A good example is the situation surrounding Disney's Snow White. It's a film that – in my opinion – isn't as bad as the internet claims. It's like most recent Disney fairy tale adaptations. We also need to remember that it's a fairy tale, and adult viewers perceive it differently. In this film, you can see a lot of pressure and conflicting ideas. And one of the narratives that emerged – even from within the production – was that Rachel Zegler, who played Snow White, was to blame for everything. And I'd like to say clearly here: no, it's not her fault. No actress, cast in any role, can single-handedly cause audiences to stay away from the cinema. And I don't understand why it would be her fault – especially when the role of the Evil Queen went to Gal Gadot, who is widely considered a very weak actress. Then there's the political aspect – in the U.S., the Israeli–Palestinian war is much more front and center because the U.S. is Israel's main ally. And Gal Gadot, who openly supports Israel, alienates many millennial viewers who tend to be more pro-Palestinian. So if we were to blame any actress, it would be more reasonable to blame Gal Gadot than Rachel Zegler. On top of that, Rachel is attacked online simply for being Latina – for not having “perfectly” white skin. And to me, the idea that a major studio would cast her in the lead role, expose her to that kind of hate, and then blame her for the film's failure... Especially considering that the real problem with the film lies in the dwarves, who look like they're from a nightmare and haunt you at night. Or maybe they'll blame her for the fact that the script was underdeveloped. Maybe it was underdeveloped because she said something on the red carpet? And even then, it wasn't anything that controversial. This leads to the real question: is this going to become the new norm? Will studios – which may be eager to return to traditional formulas – not only push for more conservative casting and storytelling, but also revert to tighter control over actors and actresses? Hollywood has always had that tendency. And that could mean control not just at work but in their private lives too – because every “scandal” could threaten profits. And those are the issues that really concern me. It's clear that the entire film industry is grappling with this. And although it's always been seen as lib-

eral and pro-democracy – let's not forget that it's all backed by massive corporations.

Right, that's what I also wanted to ask. And actually, based on what you're saying, one sad conclusion seems to emerge – and I wonder if it always holds true – that politics has a huge influence on what happens in cinema. So the question is: how big is that influence? Where's the room for creativity, imagination, and the director's freedom? And is it just the United States that struggles most with this, or are similar trends appearing elsewhere in the world?

Politics has always ruled cinema, ever since the beginning of film history. We have historical examples – the most vivid from the 1930s, when cinema was a tool for building power and promoting specific regimes.

But that's just one part of cinematography.

Yes. Today, we're in a unique situation. We have mainstream cinema – a huge, capitalist film industry that will always be tied to power in some way because it's big business. And big business always “snuggles up” to power. The more authoritarian the power, the closer it cuddles. That's a pattern we know well from history. On the other hand, we have independent cinema. But the problem is whether anyone will actually see it. And that's what's really interesting, because we often forget this in such conversations – we think we're talking about the creative issues of cinema when we discuss political problems. But actually, that's the least problematic aspect. Today, anyone can make a film, tackle a difficult topic, break cultural taboos. The real question is: who will see it, and how? A great example is a documentary, I think from last year, about the formation of labor unions in Amazon. A very good film, award-winning at festivals. In the U.S., it's virtually impossible to see – no one wants to distribute it.

Can you find it online?

You can, but only if you already know it exists and know where to look. If it doesn't get picked up by a streaming platform, it only reaches a very limited audience. And that's the issue – the “gate” isn't at the production stage, but at the distribution level. Will Netflix buy it? Will Amazon Prime buy it? And today, distribution channels are narrowing. These major streaming platforms are consuming most of the market, which resembles the old Studio System in the U.S. before the 1960s, when film studios owned their own theaters and television didn't exist yet.

Viewers could only watch what the studio produced. Independent cinema practically didn't exist. Only antitrust laws and the collapse of that system led to the boom of independent film in the U.S. And now we're kind of going back to that. Amazon, Netflix, HBO produce films and release them only on their platforms. So decisions aren't just made at the level of “what do we produce?” but more importantly: “what will we let people see?” Of course, you can upload a film to YouTube, make your own site, etc. It's not like the internet doesn't offer possibilities. But looking at how most people watch films today, how our choices have become linear – we turn on the TV, press the Netflix button, and have 15 seconds to pick something before we get bored. The question is: to what extent will this trend deepen? Because the consolidation of the production and distribution markets in the U.S. is intensifying. It's a complex system that likely won't be stopped. Meanwhile, European cinema – although more diverse – is also dependent on politics. Because each country has its own film funds, which are one of the main sources of financing. They're less susceptible to political change, but still – again – the cultural dominance of the United States means that many European films simply don't get watched. We don't even ask ourselves where or whether they're distributed at all.

Let's touch on one more sensitive topic when it comes to the future of cinema – artificial intelligence. There's been a lot of buzz around it recently, especially in the context of Miyazaki-style animations and how AI-generated works are starting to imitate the style of Studio Ghibli. I wonder how far we can allow AI to enter film, how far it can go in cinematography, and at what point it starts to ruin what's most important about cinema.

Let's start with this: AI is already present in cinema. The idea that it's only now about to enter is a bit misleading. Of course, it's playing a bigger and bigger role, but even today it's widely used – for example, in creating various visual and sound effects. And in my opinion, there's nothing wrong with that. Any tool that helps make a film better and more immersive is fine. Of course, as long as – first of all – copyright laws are respected. And that's precisely the biggest issue with artificial intelligence. Because AI didn't invent anything on its own – it just “gorged” itself on someone else's work. ■

**Podziękowania za udostępnienie
przestrzeni na sesję zdjęciową
dla Your Studio: Yoga&Art
przy ulicy Skalskiego 1 w Warszawie**



JUŻ ZA MIESIĄC TEDxWARSAW 2025 – WYDARZENIE, KTÓRE INSPIRUJE ZMIANY



Już za niecały miesiąc – 6 czerwca 2025 roku – w warszawskich Złotych Tarasach odbędzie się jedno z najbardziej wyczekiwanych wydarzeń roku: TEDxWarsaw 2025.

DLA KOGO JEST TEDxWARSAW?

TEDxWarsaw to wydarzenie dla wszystkich, którzy wierzą w siłę idei. Dla tych, którzy chcą rozwijać siebie, swoje myślenie i patrzeć na świat. Dla liderów, przedsiębiorców, artystów, studentów, aktywistów, innowatorów – i dla każdego, kto pragnie inspirować się odważnymi pomysłami i perspektywami ludzi z różnych dziedzin życia. To przestrzeń dla tych, którzy chcą nie tylko słuchać, ale i przeżywać idee, które mogą zmieniać świat.

DLACZEGO NAZWISKA MÓWCÓW ZDRADZAMY DOPIERO TUŻ PRZED WYDARZENIEM?

Nie kupujesz "kota w worku".
Kupujesz zaufanie do idei.
To właśnie idea jest sercem TEDx – nie nazwisko.

Wybieramy mówców nie dlatego, że są sławni, ale dlatego, że mają coś ważnego do powiedzenia. Chcemy, aby decyzja o udziale w wydarzeniu wynikała z wiary w to, że wartościowe treści mają moc. Jak pokazuje historia TEDx na całym świecie – to często ci mniej znani dziś mówcy, stają się inspiracją dla tysięcy. Hasło przewodnie TEDxWarsaw 2025: "Wczoraj. Dziś. Jutro."

Tegoroczne wystąpienia połączą trzy perspektywy czasu:

- Jak przeszłość wpływa na nasze dziś?
- Jak teraźniejszość kształtuje jutro?
- Jak my sami możemy stać się częścią tej zmiany?

CZEGO MOŻESZ SIĘ SPODZIEWAĆ JAKO UCZESTNIKA?

Wyjątkowych wystąpień, które zmieniają sposób myślenia.

Prawdziwych, autentycznych idei, nie gotowych sloganów.

Inspiracji do działania – w biznesie, w życiu osobistym, w świecie.

Niezapomnianej atmosfery i energii ludzi, którzy wierzą w siłę słów i idei.

Networkingowych rozmów, które często zaczynają nowe przyjaźnie i projekty.

TEDxWarsaw to wydarzenie non-profit. Każdy z nas – organizatorzy, mentorzy, trenerzy – pracuje wolontariacko, z serca i z misji. To nie konferencja. To doświadczenie, które zostaje z Tobą na długo po wyjściu z sali.

Bądź z nami 6 czerwca. Bądź częścią zmiany.
TEDxWarsaw 2025 –
Wczoraj. Dziś. Jutro.
www.tedxwarsaw.org



ARCHE

HOTEL KRAKOWSKA



Dogodna lokalizacja
15 minut do Centrum, Wola, Mokotów



Lotnisko Chopina
3 km



Parking
podziemny



5 sal konferencyjnych
i szkoleniowych



Kameralna
restauracja i bar

Poznaj biznesowe oblicze hotelu w Warszawie

Standard ★★★★★
Konferencje do 800 os.

Ponad 700 miejsc noclegowych
Największa sala 700 m²

Unikalny hotel miejski w strategicznej lokalizacji w Warszawie. Wykonany w nowoczesnym, komfortowym stylu, zapewnia przestrzeń i możliwości dla biznesu. Sala konferencyjna z mobilnymi ściankami oraz mniejsze meeting room to doskonałe miejsce do organizacji konferencji i szkoleń.



rezerwacje@archehotelkrakowska.pl



www.archehotelkrakowska.pl



Sprawdź nasze pakiety
konferencyjne na stronie

MORDERSTWO, EKOLOGIA I PODRÓŻE – MARTA MATYSZCZAK O SWOICH KSIĄŻKACH



TEKST MARIKA KRAJNIEWSKA ZDJĘCIA PRZEMYSŁAW JENDROSKA

Marika Krajniewska:
Dzień dobry Państwu, Bookmorning. Jesteśmy w programie literackim, a naszym gościem jest dziś Marta Matyszczak.

Marta Matyszczak:

Dzień dobry.

Marika:

Drodzy Państwo, *Przepraszam, ja już nie żyję* to tytuł książki, o której dziś porozmawiamy. Myślę, że nie tylko o niej, ale od niej zaczniemy. Jak to się stało, że wsiadłaś na statek razem z bohaterami tej kryminalnej, komediowej opowieści?

Marta:

Na szczęście tylko z bohaterami, bo sama na statki nie wsiadam, odkąd odkryłam, że cierpię na ciężką chorobę morską. Odwiedziłam za to wszystkie porty, w których książkowy statek King of the Oceans zakotwicza. *Przepraszam, ja*

już nie żyję to drugi tom serii Zbrodnie na Podsluchu, a motywem łączącym cały cykl jest tematyka proekologiczna. W pierwszej części, *Przepraszam, tu był trup*, poruszałam temat greenwashingu. Teraz zajęłam się overtourismem – w powieści pokazuję wpływ wycieczkowców na środowisko naturalne i na nas samych.

Marika:

Ciekawi mnie, jak to było – czy najpierw pojawił się temat, nazwijmy go, misyjny? Może dla ciebie taki nie jest, ale jeśli przemycamy w książce przekaz proekologiczny, edukacyjny, to czy najpierw jest ten przekaz, a dopiero później budujesz wokół niego historię? Czy może było odwrotnie – najpierw pomysł na serię, a dopiero potem doszedł element edukacyjny?

Marta:

W tym wypadku temat proekologiczny

rzeczywiście był wiodący, do niego dobudowywałam intrygę kryminalną. Do tego główna bohaterka, Rita Braun, została podcasterką. Każdy tom cyklu jest jak kolejny sezon podcastu ekologiczno-kryminalnego.

Marika:

Urzekło mnie, że zadbałaś o szczegóły, które budują realizm – mamy statek, który naprawdę mógłby istnieć, miejsca, do których zawija. I bohaterowie – wyraziści, współcześni, na przykład postać podcasterki. Jeśli chodzi o research, to naprawdę wykonałaś ogromną pracę.

Marta:

Bardzo dużo się naczytałam i naoglądałam na ten temat. Obejrzałam chyba wszystko, co można znaleźć na YouTube o wycieczkowcach – po polsku i po angielsku. I nadal oglądam niektóre z tych kanałów, mimo że książka już od dawna jest na księgarskich półkach – tak

mnie to wciągnęło. Szczególnie upodobałam sobie kanał Cruising as Crew prowadzony przez Lucy – Brytyjkę, która pracowała dziesięć lat na wycieczkowcach i teraz opowiada, jak wygląda życie na statku z perspektywy załogi.

Marika:

Najbardziej uderza mnie kontrast pomiędzy luksusowym życiem pasażerów a realiami życia pracowników – tych z najniższego pokładu.

Marta:

Ciasne kajuty bez okien, w których mieszkają po dwie osoby. Kontrakty na 6 do 9 miesięcy, bez żadnego dnia wolnego – co, jak się okazuje, jest zgodne z prawem. Niby jest wyznaczona liczba godzin wolnych w tygodniu, ale realnie – zero dni wolnych. Przeraziło mnie to, bo nie wyobrażam sobie takiego życia. Zarobki – niezbyt wysokie z perspektywy Europejczyka. A ludzie często pracują na wycieczkowcach, bo to po prostu dobry sposób na zwiedzenie świata.

Marika:

Twoi bohaterowie też pracują na statku, prawda?

Marta:

Tak. Rita Braun pracuje w sklepie pokładowym, jej brat jest odpowiedzialny za organizację wycieczek fakultatywnych, choć to raczej ostatnia osoba, która powinna być zatrudniona na tym stanowisku. Kolega rodzeństwa – Jacek – pracuje na cruise-rze w dziale IT. Część bohaterów powieści jest też zaproszona na wesele odbywające się na statku, więc występują w charakterze pasażerów. Spotykają się tu zatem niejako dwa światy.

Marika:

Czy możemy zdradzić, jaka jest intryga kryminalna?

Marta:

Na statku odbywa się wesele, podczas którego jeden z pasażerów wypada za burtę. Okazuje się, że było to morderstwo. A ponieważ Rita jest ciekawska, zaczyna prowadzić prywatne śledztwo – i jej podcast z takiego o tematyce proekologicznej przekształca się w kryminalny. Na statek przylatuje też policjant z Bahamów, Andrew Krasinski (nie mylić ze znanym aktorem!), który początkowo podchodzi do sprawy dość leniwie – wołałby korzystać z atrakcji wycieczkowca. Ale w końcu bierze się do pracy i wspólnie z Ritą odkrywają, co naprawdę się stało. Wszystko łączy się z wydarzeniami sprzed roku na Majorce. Mamy więc klasyczną zagadkę w stylu Agathy Christie – zagadkę zamkniętego pokoju.

Marika:

Mam pięć pytań naraz! Zacznę od bohaterów – których lubisz najbardziej?

Marta:

Radka Brązowskiego, brata Rity.

Marika:

Proszę zwrócić uwagę na nazwiska – to

rodzeństwo.

Marta:

Tak, ich prawdziwe nazwisko to Braun, ale ojciec – narodowiec – chciał, żeby brzmiało bardziej polsko, więc je zmienił. Rita w geście buntu pozostała przy oryginalnym. Charaktery rodzeństwa są bardzo różne. Rita – zaradna, ciężko pracująca dziewczyna, która walczy o swoje. Radzio – złote dziecko, które żyje na koszt ojca, zawsze ma szczęście. Jest zszokowany, że na statku musi pracować, bo wołałby odpoczywać przy basenie. Ale ma w sobie urok – ja go bardzo lubię. I, jak się okazuje, czytelnicy też. Lubimy takie typy – w książkach i filmach. Na żywo może mniej.

Marika:

Czego ty szukasz w literaturze?

Marta:

Szukam poczucia humoru – i to nie tylko w komediach kryminalnych, ale właściwie w każdej książce. Szukam choćby takiego

mrugnienia okiem do czytelnika, które daje znać, że autor ma poczucie humoru, że jest inteligentny, że potrafi operować ironią. To nie musi być nic wielkiego – wystarczy drobiazg rzucony mimochodem, na marginesie. Jeśli tego nie znajduję, jestem rozczarowana.

Marika:

Twoje wcześniejsze serie to były serie kryminalno...

Marta:

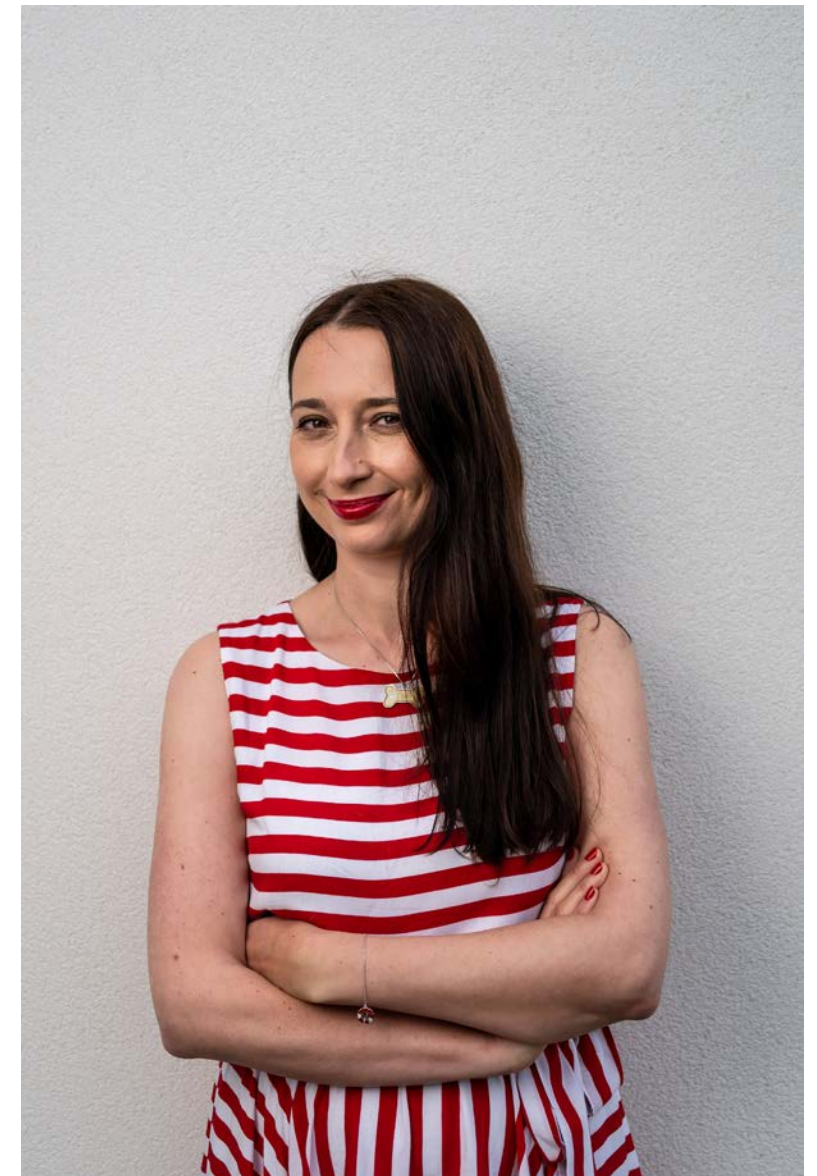
...komediowe.

Marika:

Zwierzęce.

Marta:

I zwierzęce też, tak. Do tego właśnie zmierzam. To mnie fascynuje, bo człowiek pisze o ludziach – co jest naturalne. Natomiast rozwiązywanie zagadek z perspektywy zwierząt to już wyższa szkoła jazdy. Zawsze byłam psiarą. Nawet tutaj, czekając na nasze spotkanie, zakolegowałam się z piskiem, który siedział przed studium.



Kiedy postanowiłam pisać, zdecydowałam się na kryminały. A że z roku na rok pojawia się ich coraz więcej – kiedyś było ich 200, teraz rocznie wydaje się około 600 polskich powieści kryminalnych – to trzeba się czymś wyróżnić. Uważam, że warto pisać o tym, co się kocha, co się zna. Dla mnie to były właśnie psy. Teraz – statki.

Marika:

Statki, ale przecież i koty – skoro jesteś przy zwierzętach.

Marta:

Tak. Miałam psa i postanowiłam zrobić z niego jednego z narratorów powieści. A to wcale nie jest trudne – każdy, kto ma zwierzę, wie, że jak mu się spojrzysz w oczy, to od razu widać, co myśli, zwłaszcza o nas. Mój Gucio w Kryminałach pod Psem komentuje w ironiczny sposób poczynania swojej „ludzi” i jest taką równowagą dla mroczniejszych tematów.

Marika:

Jak budujesz swoje opowieści? Masz plan od początku do końca i się go trzymasz? Czy wręcz przeciwnie?

Marta:

Tworzę plan. Nie siadam do pisania bez planu.

Marika:

I wyrzucasz go do kosza pierwszego dnia?

Marta:

Nie, bazgrzę po nim. Zapisuję sobie sceny na karteczkach – jedna scena, jedna kartka. Potem do nich przypinam mniejsze w innym kolorze, bo każdy wątek ma swój kolor. Rozkładałam ich kilkadziesiąt, wszystkie ponumerowane. Mam kota, więc gdyby wszedł w te karteczki, mogłoby być źle – dlatego są numerowane. Kiedy już się zbierze cały stosik, siadam do pisania. Zostawiam sobie miejsce na flow – coś może wyjść inaczej, niż zakładałam. Opisy scen to raczej krótkie uwagi, nie szczegóły. A potem, kiedy już wszystko jest napisane, drukuję, czytam na papierze, nanoszę poprawki w komputerze, znowu drukuję... i tak kilka razy. W końcu mam już dość własnego tekstu, znam go prawie na pamięć. Dlatego później, kiedy książka trafia do księgarni, już do niej nie zaglądam – bo wiem, co jest w środku.

Marika:

Zwierzęta podpowiadają ci historie patrzeniem w oczy. A pomysły? Skąd się biorą?

Marta:

Z życia. Ale muszę zaznaczyć, że moje kryminalne historie są wymyślone, to nie true crime. Nie czułamby się dobrze, gdybym miała wykorzystywać te prawdziwe – zwłaszcza jeśli sprawa jest świeża, a rodzina ofiary jeszcze żyje. Robienie rozrywkę z cudzej tragedii nie jest okej. Dlatego wymyślam. Ale życie inspiruje. Wystarczy wsiąść do autobusu, pociągu, zdjąć słuchawki i posłuchać, co mówią ludzie –

ijak. Językowobywacudownie! Niektórych rzeczy by się nie wymyśliło. Mam notesik, w którym wszystko zapisuję, więc... jeśli ktoś ma znajomego pisarza, radzę uważać, co przy nim mówi, bo autor na pewno to wykorzysta. Zwłaszcza jeśli jest kryminalistą!

Marika:

Wróćmy jeszcze do bohaterów. Jaka jest Rita w najnowszej serii? Co może sprawić, że czytelniczki się z nią utożsamiają? Czy w ogóle ci na tym zależy?

Marta:

Rita – szczególnie w pierwszym tomie – prowadzi życie, które zaplanowała dla niej rodzina. Miała męża, którego poślubiła za wcześnie, i czuje, że to nie jest to. Dusi się. Pewnego dnia po prostu ucieka z domu do Warszawy, mając nadzieję, że tam zacznie cudowne życie. A rzeczywistość jest inna – Rita pracuje w Biedronce, nie jest zadowolona. Powoli tonie. Na szczęście ma przyjaciół, którzy pomagają jej wyjść z dołka. W pierwszym tomie zabiera ją do Wisły, do luksusowego hotelu, gdzie rozwija się kryminalna intryga. Rita z każdą książką coraz bardziej wierzy w siebie, walczy o siebie, odkrywa, czego chce od życia. Myślę, że każdy – kobieta czy mężczyzna – może się z tym utożsamić. Może nabrać odwagi, by coś zmienić.

Marika:

Powiedziałaś, że Rita czuła, że tonie – a dopiero potem zaczęła odkrywać siebie. To częsty scenariusz. Zaczynamy się do siebie uśmiechać, kiedy odkrywamy, że warto siebie poznać, by znaleźć odpowiedź. Jak to wygląda u ciebie?

Marta:

Ja jestem trochę jak moje książki. Uważam, że w książkach widać charakter autora, słyhać, co mu w duszy gra. Patrząc na świat z przymrużeniem oka, zawsze staram się widzieć rzeczy w optymistyczny sposób. Może nawet jestem... trochę bezmyślna, jak mój Radziu? Może powinienam się bardziej zamartwiać? Ale naprawdę – charakter autora widać w jego książkach. A jeśli już się zna różnych pisarzy i ich książki, to zdecydowanie widać podobieństwa. Autorzy, uważajcie!

Marika:

Piszesz codziennie, systematycznie – jak radzi King? Czy raczej falami, etapami?

Marta:

Bardzo bym chciała pisać codziennie i zgadzam się z Kingiem, że tak powinno być. Ale wolny zawód ma to do siebie, że... człowiek robi, co chce. A potem się okazuje, że deadline dyshy za plecami. Ja akurat działałam dobrze pod taką presją. Choć wcześniej też mi się wydaje, że cały czas coś robię – zawsze jest jakaś praca okołopisarstwa. Oprócz pisania książek piszę też o książkach, prowadzę zajęcia ze stu-

dentami. Non stop coś się dzieje. A potem, kiedy kalendarz zaczyna mnie straszyć, potrafię siedzieć przed komputerem po kilkanaście godzin dziennie. To nie jest zdrowe – nie polecam nikomu!

Marika:

Czyli słuchamy się Kinga, jednym słowem.

Marta:

Tak, zdecydowanie.

Marika:

Na koniec – lubię pytać o początki. Zawsze wiedziałaś, że chcesz pisać? Czy to się nagle wydarzyło?

Marta:

Nie, na pewno nie. To się nie wydarzyło nagle. Od pomysłu do wydania mojego pierwszego kryminału minęło siedem lat. Tyle zajęło mi nauczanie się, jak to zrobić – napisanie, znalezienie wydawcy, samo wydanie. To nie takie hop-siup. Ale zawsze lubiłam pisać. Skończyłam dziennikarstwo, więc kręciłam się gdzieś obok. I zawsze lubiłam czytać kryminały, więc wybór gatunku był oczywisty. Do tego moje patrzenie na świat z przymrużeniem oka... no i mamy to, co mamy.

Marika:

I bardzo się cieszę, że mamy to, co mamy. Państwa bardzo zachęcam do sięgnięcia po najnowszą serię i do powrotu do wcześniejszych tomów. Możemy zdradzić, że Koci Pazur jeszcze się pojawi?

Marta:

Tak! Pojawi się jeszcze w tym roku czwarty tom Kryminałów z Pazurem.

Marika:

Jakie marzenia na najbliższy czas?

Marta:

caOdpocząć! Właśnie skończyłam pisać ten tom – Kryminał z Pazurem numer cztery – więc chciałabym odpocząć. Ale na razie się nie bardzo zanoszę... Może uda mi się chociaż przeczytać jakąś fajną książkę.

Marika:

I z takim marzeniem, życzeniem Państwa zostawiamy i również życzymy Państwu wszystkiego dobrego.

Marta:

Tak jest. Bardzo dziękuję.



animator film festival 18.

Oscar® qualifying International
Animated Film Festival

Poznań 5-13.07.2025

animator-festival.com

ORGANIZATORZY

ESTRADA
POZNAŃ
ŃSKA

KINO
MUZA

POZnań*

WSPÓŁFINANSOWANIE

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Filmoteka Narodowa
Instytut Audiowizualny

POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszy Promocji Kultury

PODRÓŻ NA KANAPIE / BLISKIE SPOTKANIE Z NISSANEM ARIYA | NISSAN ARIYA 2024 TEST



TEKST I ZDJĘCIA MARCIN RANUSZKIEWICZ

Niektórym elektrykom się wybacza! Tak mam z Nissanem Ariya. Niektórzy nawet twierdzą, że drugi raz do tej samej rzeki to nie jest dobre rozwiązanie. W moim przypadku, to powiedzenie nie sprawdziło się. I dobrze!

Pierwszy raz to trasa do Łodzi, na festiwal teatralny TEATROPOLIS. Zapakowaliśmy się w 3 osoby, kamery, światło i mikrofony. Weszło wszystko i jeszcze zostało na dwójkę pasażerów. Pamiętam jak dziś, że pierwszy zachwyt to przednie fotele, które nie mają deski rozdzielczej połączonej z podłokietnikiem. Po prostu to pusta przestrzeń, po prostu możesz przejść z fotela kierowcy na fotel pasażera bez podnoszenia nogi, żeby nie zahaczyć, na przykład, o dźwignię zmiany biegów. Rozwiązanie podobne do tego, które było stosowane w amerykańskich samochodach w latach 60-tych i 70-tych. Stąd nasza wewnętrzna redakcyjna nazwa: Nissan Kanapa. To pierwszy taki samochód, którym jeździłem. Brawo dla designerów. Uważam, że motoryzacja powinno do tego wrócić.

Drugie spotkanie z „Kanapą” to ulubiona trasa testowa Warszawa-Giżycko i powrót. 600 km różnych dróg i róż-



nych nawierzchni. Egzamin zdany! Co do ładowania, to jest tu przestrzeń na polemikę. Baterię mógłby mieć większą niż realne 250 km zasięgu. Na trasie w jedną stronę potrzebne jest ładowanie, wystarczy raz na szybkiej ładowarce i po 20 minutach (czyli 1 kawa na postoju) można śmigać dalej.

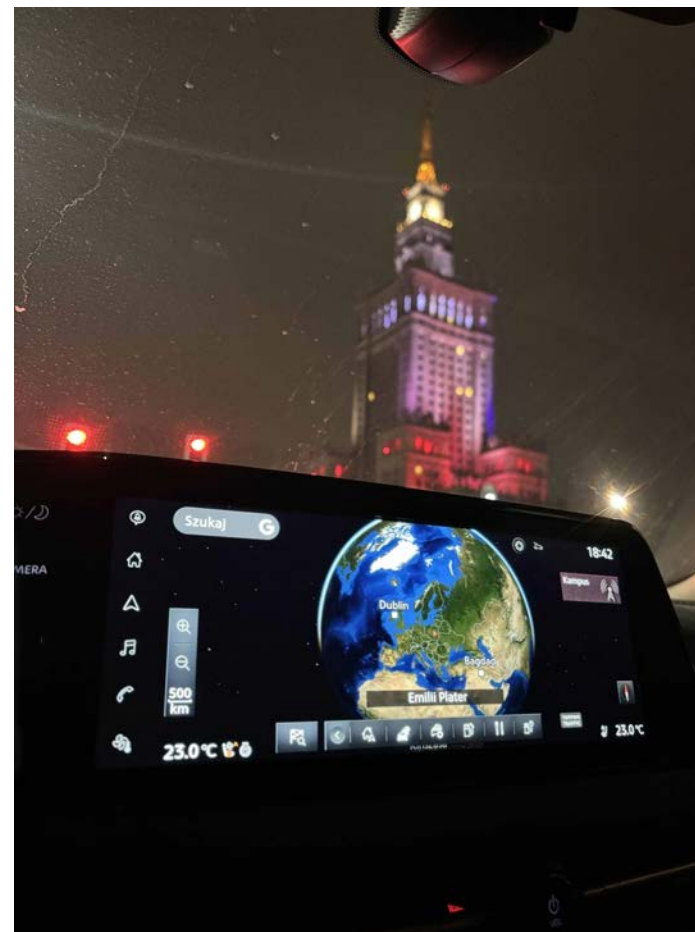
O ile na trasie S7 do Gdańska ładowarek jest więcej i można to w miarę sprawnie pokonać, to na trasie do Giżycka ładowarek jest... Są 3. I nie zawsze działają. I nie są to ładowarki 140kW, a zazwyczaj 50kW i 22 kW, gdzie przy tych ostatnich trzeba dodać 40-60 minut ładowania. To nie jest dobra informacja. Ale za to trasa jest nowa i szybka.

Powiem Wam, że to był naprawdę przyjemny i wygodny wyjazd. Technologicznie to bardzo rozwinięta jednostka, weźmy tylko zaawansowany system e-4ORCE – inteligentny napęd na wszystkie koła, który zwiększa przyczepność i stabilność, dalej ProPilot Assist 2.0 – półautonomiczny system jazdy wspomagający kierowcę na autostradach – przetestowałem – idealne rozwiązanie.

Na pochwałę zasługuje system autonomicznego hamowania, działa genialnie.



Mamy też do dyspozycji dwa ekrany o powierzchni 12,3”, które są cyfrowym kokpitem działającym płynnie i nowocześnie. O rozwiązaniu – Apple CarPlay, Android Auto i asystent głosowego nie wspominam nawet. Do tego wszystkiego auto jest świetnie wygłuszone i nagłośnione rozwiązaniem BOSE. Myślę, że Nissan Ariya to poważny gracz wśród swojej konkurencji. Warty sprawdzenia – to rewelacyjne rozwiązanie ceny do jakości. Ci, którzy lubią jakość, luksus i dobrą cenę nie przejdą obok salonu bez wstąpienia.



"HOLIDAY DREAM" MACIEJA ZIENIA, CZYLI PODRÓŻ PEŁNA MARZEŃ I LEKKOŚCI



TEKST I ZDJĘCIA ALICJA PRUSZYŃSKA

W poniedziałek, 7 kwietnia w warszawskiej Butelkowni w Centrum Konesera odbył się pokaz najnowszej kolekcji Macieja Zienia zatytułowanej "Holiday Dream". Projektant po raz kolejny udowodnił, że moda może być nie tylko estetycznym doświadczeniem, ale także podróżą – tym razem w świat lekkości, zwiewności i kobiecej siły. Nowa kolekcja nawiązuje do marzeń i wakacyjnej wolności. Zień postanowił zabrać publiczność w podróż – nie tylko geograficzną, ale też emocjonalną. "Holiday Dream" to ubrania, które kojarzą się z letnim wiatrem, miękkimi tkaninami otulającymi ciało, pastelami, ciepłem i subtelnym połyskiem. Kierunków podróży było kilka. Scenografia przeniosła nas w pustynny klimat, kreacje nawiązywały do tropikalnego Tulum, a muzyka pozwoliła momentami poczuć ducha Indii. Pojawiły się również odważniejsze

stylizacje, jednak nawet one zostały dopracowane ze smakiem i z charakterystyczną dla projektanta delikatnością. Na widowni, nie zabrakło jak zawsze muz Zienia. Wśród gości pojawiły się m.in. Justyna Steczkowska, Agata Kulesza, Kaśka Sochacka, Maria Dębska oraz Izabela Kuna - kobiety silne, inspirujące, które doskonale oddają ducha twórczości Zienia. Jak sam twierdzi, inspirują go nie tylko uroda, ale i osobowością. Każda z nich od lat jest blisko związana z projektantem i jego kreacjami. Pokazy Macieja Zienia to nie tylko prezentacja mody – to również manifest dla kobiet. Projektant od lat podkreśla, że to właśnie kobiety są dla niego największą inspiracją. Ich piękno, emocjonalność i siła stają się fundamentem każdej kolekcji. Tworzy dla nich i o nich, co wyraźnie czuć w każdym detalu jego projektów.



any
where
re
Platforma Medialna

Productions



Streaming/Montaż



Grafika/Copywriting



Produkcja audio/video



**Wynajem studia
Warszawa
Fabryka Norblina**



Skontaktuj się z nami!
biuro@anywhere.pl
721 310 101



a n y
w h e
r e  | F O R **HER**

Fot: pexels



TEMATY

KTÓRYMI CHCEMY
SIĘ DZIELIĆ

MADE IN ITALY: Z CINECITTÀ DO HOLLYWOOD, CZYLI NARODZINY SOPHII LOREN



NAKRECIŁA NIEMAL 100 FILMÓW. W TYM 14 U BOKU MARCELLA MASTROIANNIEGO I 11 Z VITTORIO DE SIKĄ – W OŚMIU Z TYCH PRODUKCJI WYSTĄPILI WSZYSCY RAZEM. „KOCHAM SOFIĘ, ALE TO MIŁOŚĆ BRATERSKA ALBO OJCOWSKA” – PRZYZNAŁ DE SICA. NATOMIAST SOPHIA LOREN MIŁOŚĆ SWOJEGO ŻYCIA ODNAŁAZŁA WE WŁOSKIM ŚRODOWISKU FILMOWYM JUŻ NA POCZĄTKU KARIERY. ZDETERMINOWANA I PROFESJONALNA – „NA PLAN DOCIERAŁA PUNKTUALNIE. ŚWIETNIE SIĘ Z NIĄ PRACOWAŁO” – WSPOMINALI KOLEDZY Z BRANŻY. JEDNOCZEŚNIE ODDANA RODZINIE I ZAANGAŻOWANA SPOŁECZNIE. DO DZIŚ POZOSTAJE WŁOSKĄ IKONĄ KINA, KTÓRA PODBIŁA HOLLYWOOD I PRZYCIĄGNĘŁA UWAGĘ CARY’EGO GRANTA.

TEKST ALICJA KUBÓW **ZDJĘCIA** WIKIMEDIA COMMONS

Sophia Loren jest piękną kobietą, ale chodzi o to, jaka jest, a nie jak wygląda” – powiedział reżyser Robert Altman. To nie tylko ikona stylu i wielka gwiazda kina, ale także symbol włoskiego neorealizmu i odrodzenia Cinecittà po II wojnie światowej. Jako młodsza koleżanka Giny Lollobrigidy (po której przejęła rolę w trzeciej części Chleb, miłość i...), do której często była porównywana, grając proste kobiety, zyskała sympatię szerokiej publiczności, a jej talent i ciężka praca zaprowadziły ją na szczyt.

BRZYDKIE KACZĄTKO

Nie miała jednak łatwego startu. „Urodziłam się drobna i brzydka [...] zawsze powtarzam, że otrzymałam w posagu

skrzynię mądrości i biedy” – wspomina w swojej autobiografii. Wychowywana była przez babcię-mamę Luisę, dziadka Domenica, który rekompensował jej brak ojca, oraz mamę-mamusię Romildę, której uroda onieśmielała młodą Sofię. Sama Sofia Scicolone, urodzona w 1934 roku, była „brzydkim kaczątkiem” – rówieśnicy przezywali ją „Wykalaczką, ponieważ była śniada i szczupła, co jeszcze bardziej uwydatnił głód, jaki nastał wraz z wybuchem wojny i niedoborem żywności. „Głód był motywem przewodnim mojego dzieciństwa” – napisała w autobiografii, gdzie wspomina również powojenne lata spędzone w Pozzuoli w Kampanii.

Wspomina, że kłatkę schodową ich ka-

mienicy zajęli marokańscy żołnierze, dowodzeni przez francuskiego oficera. Byli hałaśliwi, budzili niepokój i zakłócali sen. To wspomnienie wróciło do Loren po latach i stało się inspiracją do filmu Matka i córka, pomagając jej oddać emocje swojej bohaterki. Jako dziewczynka Sofia lubiła się uczyć, miała talent do języków, a także brała lekcje gry na fortepianie, których udzielała jej matka – nie szczędząc przy tym krytyki. Romilda miała ogromny potencjał – jeszcze przed wojną otrzymała propozycję kariery w Rzymie, jednak ciąża i nieślubne dziecko zmusiły ją do powrotu do rodzinnego domu. Mimo to nie poddała się – całą swoją ambicję i pasję przelewała na młodą Sofię, która po wojnie zaczęła przeobrażać się w łabędzia. A wraz z tym –



coraz silniej odczuwać potrzebę wyrażania swoich emocji.

KSIĘŻNICZKA MORZA, GWIAZDA FIUMETTI I GALATEA

W czasach powojennych, kiedy Neapol odradzał się po licznych bombardowaniach, ludzie zaczęli wychodzić na ulice i angażować się w codzienne aktywności. Ówczesne fotografie ukazują neapolitańczyków próbujących żyć normalnie i przywrócić ducha wspólnoty miasta. Jedną z takich prób był konkurs Królowej Morza, organizowany przez Corriere di Napoli, który dla Sofii stał się trampoliną do kariery. W sukience uszytej z zastony przez babkę została włączona do pochodu księżniczek, a nagroda – 23 tysiące lirów i bilety do Rzymu – okazała się przepustką do Cinecittà. Rok później Sofia wzięła udział w konkursie Miss Italia, w którym zdobyła tytuł Miss Elegancji. Wspierana przez matkę, karierę rozpoczęła od pojawiania się w popularnych wówczas fiumetti – magazynach z ilustrowanymi opowieściami fotograficznymi. Stefano Reda, redaktor naczelny Sogno, nadał jej sceniczny pseudonim Sofia Lazzaro, inspirowany opinią, że jej niezwykła uroda mogła „wskrzeszać umarłych” – nawiązanie do biblijnego Łazarza.

Pojawiła się także m.in. w filmie Quo Vadis (1951) jako statystka, co pozwoliło jej zdobyć pierwsze doświadczenie na planie filmowym. Później producent Goffredo Lombardo zmienił jej pseudonim na Loren – inspiracją był plakat ze szwedzką aktorką Martą Torén. Aby jej imię również nabrało

międzynarodowego brzmienia, Sofia stała się Sophią. Kolejny przełom w jej karierze nastąpił w 1953 roku, gdy otrzymała główną rolę w filmie Aida, co umocniło jej pozycję w przemyśle filmowym.

SOFIA W KRAINIE CINECITTÀ

Okres rozwoju kariery Sofii zbiegł się w czasie z odbudową Cinecittà, które wojna potraktowała brutalnie – wszystkie kamery i sprzęt wywieziono na północ, a wielkie hale zamieniono w magazyny niemieckiej broni. Studia filmowe zostały zniszczone przez alianckie bomby, a po wyzwoleniu miasta na ich terenie powstał obóz dla uchodźców oraz centrum operacyjne wojsk amerykańskich.

W oczekiwaniu na wyzwolenie pozostałej części Włoch robotnicy, technicy i aktorzy wyciągnęli kamery ukryte podczas wojny i wrócili do pracy. To właśnie wtedy powstał jeden z pierwszych powojennych filmów – Rzym, miasto otwarte Roberta Rosselliniego. Rozpoczęła się epoka neorealizmu w kinie włoskim. I podczas gdy Rossellini, De Sica i Visconti wychodzili na ulice, by rejestrować rzeczywistość, amerykańskie ekipy filmowe zalewały Włochy hollywoodzkimi produkcjami ukazującymi odmienny obraz świata, w triumfalistycznym duchu. A dzięki ustawie, która zamroziła dochody z amerykańskich filmów, ściągając tym samym pieniądze do Rzymu i tworząc miejsca pracy, Hollywood przeniósł się nad Tybr. A wraz z nim rozpoczęła się filmowa kariera Sofii.

Ważnym punktem w jej życiu zawodowym i prywatnym było nawiązanie współpracy

z włoskim producentem Carlo Pontim, który otworzył przed nią drzwi do kariery na pełną skalę. Była jego muzą, a on – jej pierwszym mentorem. Przez długi czas spekulowano o ich romansie, który wywołał skandal, choć bynajmniej nie z powodu 22 lat różnicy wieku – Carlo był wówczas żonaty i miał dzieci, a rozwody we Włoszech były w tamtym czasie nielegalne. Aby móc zawrzeć małżeństwo, w późniejszym okresie oboje postarali się o obywatelstwo francuskie. Ponti był jej mężem aż do swojej śmierci w 2007 roku.

Pracując w Cinecittà, dziewiętnastoletnia Sofia lubiła przechadzać się między planami filmowymi – czuła się jak w krainie czarów. Przemierzając te nowe światy, podpatrywała starszych kolegów, szukając okazji do nauki. Marzycielska i zdeterminowana, cierpliwie czekała na swoją szansę. Wtedy poznała Vittoria De Sikę – uznanego już reżysera i twórcę filmowego autentyzmu – który przywitał ją słowami: „Nasz świat to dżungla, musi pani mieć oczy szeroko otwarte”. Krótka rozmowa oraz wsparcie Carla Pontiego sprawiły, że niedługo po tym spotkaniu Sofia otrzymała rolę w Złocie Neapolu, gdzie zagrała kobietę sprzedającą pizzę. Epizod, w którym wystąpiła, nie przypadł do gustu środowisku katolickiemu – uznano, że jej rola była zbyt zmysłowa i erotyczna. Podobne wrażenie odniosła jej matka, która sądziła, że Ponti zrujnował Sofię, angażując ją do tej roli. Myliła się – ta kreacja otworzyła przed Sophią kolejne drzwi. A za nimi, w 1954 roku, czekał plan filmu Szkoda, że to łajdak w reżyserii Alessandra Blasettiego, na którym po raz pierwszy spotkała Marcella Mastroianniego.

ZŁOTY DUET W COMMEDIA ALL'ITALIANA

Ich chemia na ekranie była natychmiastowa, a wspólna gra przyniosła im rozgłos. Na planie obecny był również Vittorio De Sica, który – podobnie jak oni – pochodził z południa Włoch.

„Spotkaliśmy się z Marcellem po raz pierwszy i natychmiast zakochaliśmy się w sobie. Filmowo, naturalnie. Wciąż pamiętam tę chwilę, gdy go zobaczyłam. Stałam na schodach budynku, w którym mieliśmy kręcić. On znajdował się kilka pięter wyżej i patrzył na mnie. (...) Od razu nawiązało się między nami porozumienie i zrodziła się przyjaźń, która aż do końca pozostała nienaruszona i nieskażona żadnym konfliktem. Poznaliśmy się na planie naszego pierwszego wspólnego filmu, na tle wesołego i pełnego światła Rzymu wczesnych lat powojennych, w którym ludzie znów

zaczęli podróżować, jeździć nad morze, kochać się i bawić. Dobrze czuliśmy się ze sobą. Co za para! Prosta, piękna, prawdziwa”.

Działo się to wcześniej, kiedy na tle włoskiego neorealizmu rodził się nowy gatunek filmowy. Commedia all'italiana stanowiła jego tematyczną kontynuację, a jednocześnie wyrażne odejście stylistyczne. Choć oba nurty skupiały się na ukazywaniu rzeczywistości społecznej i losów zwykłych ludzi, commedia all'italiana porzuciła surowy, dramatyczny ton neorealizmu na rzecz ironii, groteski i satyry. Zachowując realistyczne tło i społeczne zaangażowanie, twórcy tego gatunku wykorzystali komedię jako narzędzie krytyki – wyśmiewając wady, hipokryzję i absurdy włoskiego społeczeństwa w okresie dynamicznych przemian. W ten sposób commedia all'italiana stworzyła nową jakość, komentując współczesność w sposób bardziej przystępny, ale nie mniej celny niż jej neorealistyczni poprzednicy.

Od 1955 roku rozpoczął się boom na duet Loren–Mastroianni. Spotkali się ponownie na planie Pięknej młynarki, gdzie Sophia wcieliła się w uwodzicielską żonę młynarza, starającą się uwolnić męża z rąk hiszpańskiego gubernatora. Ich współpraca kwitła, a dzięki sukcesowi poprzedniego filmu, reżyser Alessandro Blasetti kontynuował obsadzanie ich razem, co tylko potęgowało ich rosnącą popularność. W 1956 roku zagrali w Co za szczęście być kobietą, gdzie Loren wcieliła się w Antoniettę Fallari – piękną kobietę, która, wykorzystując urodę, próbuje zrobić karierę w świecie mody. Każdy z tych filmów umacniał ich status jako jednej z najpopularniejszych par filmowych.



W 1963 roku ich talent został doceniony w filmie Wczoraj, dziś, jutro, w którym Loren zagrała trzy zupełnie różne postacie. Wystąpiła też w jednej z najsłynniejszych scen filmowych, wykonując striptiz. Film zdobył Oscara, a duet Loren–Mastroianni został uznany za najpopularniejszą parę włoskiego kina. Scenę tę Sophia powtórzyła trzydzieści lat później w Prêt-à-Porter – mając 60 lat, pokazała klasę, łącząc seksapil z humorem.

W Małżeństwie po włosku, reżyserowanym przez Vittoria De Sikę, Loren stworzyła jedną ze swoich najwybitniejszych kreacji – postać Filumeny, neapolitańskiej prostytutki, która próbuje zmusić swojego kochanka, granego przez Mastroianniego, do małżeństwa. Rola ta przyniosła jej nominacje do Oscara i Złotego Globu, umacniając jej międzynarodową pozycję. Po kolejnych sukcesach powrócili jako duet w 1970 roku, występując w Słonecznikach – opowieści o miłości, wojnie i utraconej tożsamości. Wspólnie z Marcellem stworzyli niezapomniane postacie, które na zawsze zapisały się w historii kina.

IKONA KINA ŚWIATOWEGO

W 1956 roku Sophia Loren wyjechała do Hollywood, by zagrać u boku Cary'ego Granta w filmie Duma i namiętność. Jej angielski nie był wtedy zbyt płynny – kwestii uczyła się, korzystając z zapisu fonetycznego. Bariera językowa nie przeszkodziła jednak w zdobyciu sympatii twórców filmu, a zwłaszcza – serca o 30 lat starszego Granta.

Aktor, romantyk z natury, regularnie zamyślał dla nich kolacje na planie, obdarowywał Loren kwiatami i pomagał jej w nauce języka, wspierając ją również w chwilach zwątpienia. Zakochał się bez pamięci w młodej Włoszce. Loren wielokrotnie podkreślała w wywiadach, że ich relacja była niezwykła i głęboka – Grant był dla niej nie tylko idolem, ale także mentorem. Gdy w końcu się jej oświadczył, stanęła przed trudnym wyborem – czy wybrać jego, czy Carla. „Cary pochodził z zupełnie

innego świata, z Ameryki. Czułam, że nigdy do niego nie będę pasować” – wyjaśniła później w wywiadzie dla The Telegraph. Serce podpowiedziało jej, by pozostać przy swojej pierwszej miłości – Carlu. Na pożegnanie Grant wręczył jej bukiet kwiatów.

W 1962 roku Sophia Loren otrzymała Oscara za rolę w filmie Vittoria De Siki Matka i córka, opartym na powieści Alberta Moravii. Wśród jej rywalięk znajdowały się takie gwiazdy jak Audrey Hepburn za Śniadanie u Tiffany'ego oraz Natalie Wood za Wiosenną bujność traw. Loren była przekonana, że nie ma szans na wygraną – Włoszka, grająca w włoskim filmie, po włosku? To wydawało się niemożliwe. Zdecydowała się zostać w domu, czując się zbyt zestresowana, by stawić czoła temu wydarzeniu. O nagrodzie poinformował ją telefonicznie Cary Grant. Po latach przyznała, że bała się porażki i wolała przeżyć ją w ciszy, z dala od blasku fleszy. Dla pocieszenia zrobiła to, co zawsze jej pomagało – gotowała. Przyrzadziła włoski sos pomidorowy z makaronem i starała się nie myśleć o tym, co działo się w Hollywood. W wywiadzie dla The Telegraph wyjaśniła, że gotowanie dawało jej poczucie bycia w domu, co zapewniało jej bezpieczeństwo i komfort. Drugiego Oscara otrzymała w 1991 roku – za całokształt twórczości.

Dziś Sophia Loren ma już 90 lat, a nadal pojawia się w produkcjach filmowych. Ostatnią z nich był film z 2020 roku, który wyreżyserował jej syn, Edoardo Ponti. Scenariusz powstał na podstawie książki Romaina Gary'ego Życie przed sobą, za którą autor otrzymał Nagrodę Goncourtów. Gdy Sophia opowiada o współpracy z synem, nawiązuje do relacji ze swoim dawnym mentorem i przyjacielem: „Uwielbiam pracować z Edoardo z tego samego powodu, dla którego lubiłam pracować z De Siką – jego oczy za kamerą dają mi siłę i poczucie bezpieczeństwa. Nie odpuszcza, dopóki nie dam z siebie wszystkiego (...), ponieważ wie, do czego jestem zdolna. To prawdziwy dar – pracować z kimś, kto zna cię tak dobrze, jak ty sama”.

CYFROWY MINIMALIZM – PRZYWILEJ BOGATYCH CZY KONIECZNOŚĆ?



BUDZĘ SIĘ. TUŻ PRZY ŁÓŻKU KĄTEM OKA DOSTRZEGAM TELEFON PODPIĘTY DO ŁADOWANIA I WŁAŚCIWIE JUŻ SAM JEGO WIDOK WPROWADZA MNIE W STAN DELIKATNEGO PODDENERWOWANIA. W KOŃCU DOBRZE WIEM. CO MNIE TAM CZEKA. NIEOTWARTE MAILE. NIEODCZYTANE POWIADOMIENIA. KOLEJNE ZAPROSZENIA NA EVENTY. OCZEKIWANIA. EGZOTYCZNE PODRÓŻE ZNAJOMYCH.

TEKST Karolina Kołodziejczyk ZDJĘCIA CC

To kombo, na które na pewno nie jestem gotowa w poniedziałek o 8 rano. A jednak robię to – odblokowuję moje różowego potworka. Chciałabym inaczej. Czytam o cyfrowym minimalizmie, widzę influencerów na „weekendowym detoksie”, włączam blokady aplikacji. I zastanawiam się – czy przed szkodliwymi efektami technologii jest jeszcze jakiś ratunek, czy to może kolejny trend wypromowany, o ironio, w social mediach?

TRYB KSIĘŻYC 24/7

W teorii cyfrowy minimalizm brzmi świetnie. Nie oznacza niekorzystania z technologii w ogóle, ale oznacza korzystanie świadome. Czyli właściwie jakie? Zero doomscrollingu, zero obserwowania kont, które wpędzają nas w kompleksy, zero TikToka o pierwszej w nocy w sypialni.

Do tego: eliminacja zbędnych aplikacji, brak stałej dostępności online, dieta informacyjna, a nawet wybór prostszych modeli telefonów, ograniczonych tylko do podstawowych funkcji. Żegnaj nowy iPhone'ie, witaj stara Nokio!

I słuchajcie, zgłaszam się. Też tak chcę! Ale... nie mogę. Pracuję w marketingu i dziennikarstwie, więc nie, nie pozbędę się Instagrama. Nie odetnę się na miesiąc w jakiejś kompletnej dzicz, ustawiając na mailu zwrotkę: Robię

przerwę od wszystkiego, pisz do mojego menedżera. Nie zaniedbam kontaktów z wydawcami i nie oleję tych 15 nieodczytanych maili. Dlaczego? Bo zwyczajnie nie mogę sobie na to pozwolić. I, jak sądzę, większość z was też nie.

I tu pojawia się mój problem z cyfrowym minimalizmem. Oczywiście, że idea jest wspaniała, ale jak to z ideami bywa – jej realizacja napotyka mur w postaci rzeczywistości.

MINIMALIZM JAKO LUKSUS?

Pracując w marketingu godzę się na to, że będę pracowała online. I że technologie to moje stałe narzędzia pracy. Ale zostawmy na chwilę tę branżę. Bo co z tymi wszystkimi osobami, które prowadzą własne biznesy? Większość z nich nie utrzyma się bez dobrego Instagrama czy TikToka. A ich właściciele wcale nie planowali kariery internetowej gwiazdy. Oni po prostu chcieli sprzedawać swoje produkty czy usługi.

Dla osób z wysokimi zarobkami, które mogą pozwolić sobie na asystenta, ograniczenie maili i skupienie na pracy głębokiej – to wybór. Dla innych, których praca wymaga bycia online, dostępności i ciągłego reagowania – to nierealny luksus. Odłączenie się od mediów społecznościowych, by „żyć w realnym świecie”, łatwiej przychodzi tym, którzy już mają stabilne życie, rozwiniętą karierę i kontakty zawodowe.

I znowu – dla wielu z nas to po prostu niemożliwe.

Dlatego też mogę skwitować tylko uśmiechem, gdy gratulujemy odwagi kolejnej celebrytce, że odcięła się od swojego Instagrama i przekazała go swojej asystentce. Bo to jakby gratulować jej, że jest uprzywilejowana. A to chyba nie w tę stronę powinniśmy skierować nasze oczy.

MINIMALIZM JAKO KONIECZNOŚĆ?

Koniec końców, wszyscy zgodzimy się jednak, że cyfrowy minimalizm to nie fanaberia, a odpowiedź na przebodźcowanie i inne problemy wynikające z nadmiernego korzystania z technologii. Szukanie metod na bycie offline jest super. I tak, ja też namiętnie serduszkuję Reelsy, w których ludzie pokazują szwajcarskie góry, zastanawiając się przy tym, po co ludzkość wymyśliła Excela. Ale przy tym wszystkim staram się twardo stąpać po ziemi i pamiętać o tym, że z cyfrowym minimalizmem jest trochę jak z zero waste. Ciężko być królową ekologii 24/7, ale gdy już zdejmujemy z siebie trochę presji i pomyślimy o tym raczej, jak o less waste, staje się to bardziej wykonalne.

Może wyłączymy powiadomienia o 20. Może odinstalujemy TikToka, jeżeli go faktycznie nie potrzebujemy. Może nie odbierzemy tego telefonu od szefa w piątek o 19. I tego nam wszystkim życzę – żebyśmy mogli sobie pozwolić na... mniej!

IMPLANTY KOMFORT ŻYCIA

PIĘKNY UŚMIECH TO COŚ WIĘCEJ NIŻ ŁADNY DODATEK. TO NASZA WIZYTÓWKA. NIE KAŻDY JEDNAK MOŻE POCHWALIĆ SIĘ PIĘKNYM UŻĘBIENIEM. NA SZCZĘŚCIE NOWOCZESNA STOMATOLOGIA POZWALA ODMIENIĆ NIE TYLKO WYGLĄD, ALE JAKOŚĆ ŻYCIA. PROBLEMY Z JEDZENIEM, DYSKOMFORT ŻYCIA I PRZEDĘ WSZYSTKIM ESTETYKA PROWADZĄ DO ZAINTERESOWANIA IMPLANTACJĄ PRZEZ PACJENTÓW. ROZWIĄZANIE ZNAJDUJE LEKARZ STOMATOLOG DARIUSZ SROKOWSKI.

Jakie można zaproponować leczenie dla pacjentów pojedynczymi brakami lub całkowitym bezzębem?

W przypadku braku jednego lub kilku zębów, do zakwalifikowania pacjenta do implantacji potrzebne jest prześwietlenie (najczęściej wystarcza punktowe). Wówczas ocenia się poziom kości i nierzadko następuje bezproblemowe wprowadzenie implantu. Nieco dłuższa procedura występuje w momencie gdy pacjent zgłasza się z całkowitym bezzębem. Decyzja o podjęciu leczenia zapada dopiero po analizie danych uzyskanych w badaniu pantomograficznym, czyli dzięki prześwietleniu panoramicznemu. Nierzadko potrzeba zobrazenia trójwymiarowego, czyli wykonania tomografu. Propozycji leczenia może być kilka, w zależności od warunków w jamie ustnej pacjenta. Pełna rekonstrukcja jest możliwa na minimum 5 implantach, a maksymalnie na 8. Wówczas można umocować na stałe 12 zębów. O liczbie implantów decyduje jakość i ilość kości. Często po wszczepieniu następuje etap uzupełnień tymczasowych, aby pacjent mógł ocenić estetykę i wygodę przyszłych uzupełnień stałych.

Innym rozwiązaniem jest wykonanie na 2, 3 lub 4 implantach protez akrylowych mocowanych na zaczepach.



- IMPLANTY
- STOMATOLOGIA ESTETYCZNA
- STOMATOLOGIA ZACHOWAWCZA
- ZABIEGI PERIODONTOLOGICZNE
- CHIRURGIA STOMATOLOGICZNA
- PROTETYKA
- PROFILAKTYKA
- WYBIELANIE ZĘBÓW

Koszty, trwałość i przeciwwskazania. Pytania najczęściej zadawane przez pacjentów. Jaką odpowiedź mogą uzyskać?

Pojęcie kosztów jest odczuciem bardzo indywidualnym, choć zapewne cena jest dość duża. Warto jednak spojrzeć na to długofalowo. Efekt, długotrwałość uzębienia, wysoka jakość materiału, a także nienaruszenie sąsiednich zębów może okazać się bardzo przekonującą i wygrać z kosztami ponoszonymi jednorazowo na wiele lat.

Utrudnieniem przed omawianym zabiegiem bywa mała ilość masy kostnej. Obecne metody pozwalają jednak na zwiększenie jej objętości, a tym samym umożliwienie implantacji. Implanty przyjmują się raczej bezproblemowo. Wieloletnia praktyka wskazuje na minimalny procent powikłań lub odrzutu ciała obcego. W początkowym okresie gojenia objawy te łatwo skorygować.

Podsumowując, odbudowy protetyczne poprawiają warunki zgryzowe, co jest związane z lepszym trawieniem i unikaniem problemów układu pokarmowego, a zadowolający uśmiech podnosi pewność siebie.

DENTAL IMPLANT ACADEMY

DOKTOR DARIUSZ SROKOWSKI
UL. KSIĘDZA JAŁOWEGO 8/1
35-010 RZESZÓW
TEL/FAX 17 85 333 85
KOM. 602 34 20 46





LEONARDO
ROYAL
Hotels

BUSINESS LUNCH

W NOWEJ RESTAURACJI
IN THE NEW RESTAURANT



2 daniowe menu + napój | 2 course menu + soft drink
kuchnia polska, lewentyńska, klasyczna
Polish, Levantine & Classic cuisine

CENA NA START | OPENING PRICE: 45 PLN

Serwujemy | Served: 12:00 - 14:00 / 12:00 - 2:00 pm